Nr. 12 (1522). Warszawa, 19 marca 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 2-gi kwart.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

P. Aleksiejew i S-ka.

Poseł urzędników rosyjskich z Warszawy, p. Aleksiejew w toku rozpraw nad interpelacją opolską powołał się między innymi na świadectwo Świętochowskiego.

Rodzina nasza „czarna sotnia" skorzystała z tego skwapliwie, już po raz trzeci, aby snuć nić potwornych zarzutów, które tylko najwyższe znieprawienie polityczne i umysłowe podsunąć może.

Wszystko cokolwiek powiedzieli Eulogjusz, Bobrynskij lub Aleksiejew w sprawie opolskiej było uznane, słusznie, przez naszą prasę wszelkich odcieni za świadome i niecne fałsze. Skoro jednak znalazło się wśród nich nadużycie nazwiska Świętochowskiego, fałszerstwo jego myśli i intencji, przeciwko któremu zresztą zaprotestował poseł Parczewski, nasza prasa przeważnie poszła po linji, wskazanej przez p. Aleksiejewa, i zwróciła swe groty nie przeciwko podstępnemu napastnikowi, ale przeciw jego ofierze. A prasa nasza miała już czas poznać treść rzeczywistą słów Świętochowskiego, powinna więc była zachować się w obec tej enuncjacji Aleksiejewa tak samo, jak i w obec wszystkich innych enuncjacji jego i jego kolegów.

W Nr. 12 *Prawdy* z r. z. Świętochowski w *Liberum veto* dał odprawę czarnej sotni prasy, skonsygnowanej do spieszenia na pomoc „ojczyźnie", jakoby zagrożonej nawiasową jego uwagą, podczas zebrania P. Z. P., że „szkodzą wielce sprawie ci, którzy w niej zaostrzają przeciwieństwa religijne".

To samo w szerszym wywodzie powtórzył Świętochowski w odpowiedzi *Nowemu Wremieni*, zamieszczonej w *Rieczi* (*Prawda* nr. 17 z r. z.). Dla każdego uczciwie myślącego Polaka nie mogło i nie może być wątpliwości, że tylko zła wola wyzyskać mogła nazwisko Świętochowskiego do swych celów.

Ale oto po raz trzeci powtarza się to samo. Złej woli prasy naszej starczyło na to, aby przyklasnąć Aleksiejewowi, zamiast go potępić.

Świętochowski w *Rieczi* zamieścił „odpowiedź posłowi Aleksiejewowi":

„Do złorzeczeń, wykrętów i zmyśleń, które rzuciłeś Pan na szalę sprawy chełmskiej, ażeby ją przeważyć na stronę gwałtu, dołączyłeś moje mniemanie. Poczerpnąłeś zaś Pan je nie z mojego listu w *Rieczi* o tej sprawie, lecz z artykułu polskiego, który był porachunkiem domowym z duchowieństwem katolickim. Ponieważ należysz Pan do tych szczególnych ludzi, od których wszystko można przyjąć, oprócz wspólności przekonań, więc muszę zaprotestować przeciwko Pańskiemu powoływaniu się na mnie i nadużyciu, które mnie zresztą nie dziwi. Bo jeżeli nawet nauką Chrystusa, tak moralnie czystą i wyraźną, usprawiedliwiano tyle mordów, tortur i prześladowań ludzi za wiarę; jeżeli krzyżem pobłogosławiono wszystkie okrucieństwa, spełniane na unitach, to jeszcze daleko łatwiej i bezkarniej można wydobyć z moich pism ton odpowiedni dla Pańskich dzikich akordów. W tej sztuce harmonizowania najostrzejszych rozdźwięków nie jesteś Pan ani pierwszy, ani ostatni, może tylko odważniejszy w zacieraniu różnicy między błędem, który ja odsłoniłem, a występkiem, który Pan zakrywasz. Gdyby Panu nie przeszkadzała zła wola, zrozumiałbyś, że, będąc przeciwnikiem władzy wszelkiego kleru, nie mogę być zwolennikiem religijnego tamerlanizmu i że lepszą wydaje mi się żarliwość, która popełnia omyłki, niż inkwizytorstwo, które popełnia okrucieństwa. Ziemia Chełmska jest gruntem kultury polskiej, jej mieszkańcy w znacznej większości są ludnością polską, ale jakakolwiek jest ta ziemia i ta ludność, panować tam winny prawa bezwzględnej tolerancji, które nie mają nic wspólnego ani z amputacją polityczną, ani z parlamentarną odą do gwałtu poety bezprawia, p. Aleksiejewa".

Gazeta Warszawska list powyższy opatrzyła uwagą, że nie naprawi on już niestety tego wielkiego

błędu politycznego, jakim było wystąpienie „mistrza" postępowców w sprawie chełmskiej. „Oby lekcja rozumu politycznego, kończy organ p. Dmowskiego, jakiej p. Aleksiejew udzielił naszym postępowcom, nauczyła ich na przyszłość, że są sprawy, na których gruncie załatwianie „porachunków domowych" jest czemś więcej, jak ciężkim błędem, to jest podawaniem oręża wrogowi".

Ale myli się *Gazeta Warszawska.* Postępowcom lekcja p. Aleksiejewa nie była potrzebna, i niczego nie mają oni do naprawy.

Kto inny daje wrogom oręż do ręki, kto inny otwiera przed nim wrota naszej twierdzy narodowej.

To są w pierwszej linji nasi nacjonaliści, którzy nietylko kłócą nas ze wszystkimi narodami, z którymi współżyć jesteśmy zmuszeni, ale stojąc na tym samym gruncie ideowym co i nacjonaliści rosyjscy, bezwiednie zapewne robią się ich współpracownikami.

To jest klerykalizm, dzięki poparciu nacjonalizmu, coraz bardziej wojowniczy i zachłanny, który sieje rozłamy w narodzie i osłabia jego siłę oporu.

To jest niedołęstwo naszych posłów, którym właśnie z powodu rozpraw nad sprawą opolską, bynajmniej nie postępowy sprawozdawca *Kurjera litewskiego* (Nr. 48) bardzo smutne wystawia świadectwo.

Oto, kto daje wrogowi oręż do ręki; nie oręż podstępnie schwytany, ale stale, codziennie pełną garścią rozdawany przeciwnikom.

Powołanie się Aleksiejewa na Swiętochowskiego było nadużyciem, ale nikt nie może zrobić zarzutu podobnego nacjonalistom rosyjskim za to, że tłómaczą na swój język zasady nacjonalistów polskich.

Polityka wschodnia.

Sprzeczności, które w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy ujawniły się w polityce bałkańskiej Rosji i Austrji, stanowią najważniejszy przedmiot uwagi europejskiej.

Wielkie znaczenie tych kwestji dla nas podnosi się jeszcze przez to, że pewne fakty dozwalają wnosić o roli, do jakiej na Wschodzie bałkańskim Niemcy mają pretensję. Dowody tego znajdujemy w artykułach półurzędowych organów berlińskiego ministerjum spraw zagranicznych, oraz w rewelacjach, ogłoszonych w prasie francuskiej; lepszych i bardziej autentycznych źródeł na teraz spodziewać się nie możemy do zrozumienia zagadkowych rokowań i kombinacji.

Oddawna już na widowni polityki wschodniej nie zaszło jednocześnie tylu interesujących wypadków, jak teraz.

Na dworach petersburskim, berlińskim i wiedeńskim zawrzała ożywiona działalność. W prasie zagranicznej zaroiło się od uwag i komentarzy nad znaczeniem wizyty bułgarskiej w Petersburgu, po której zapowiedziano dalszy ciąg wizyt innych panujących państw słowiańskich na Bałkanach.

Ogłoszony po tej wizycie komunikat urzędowy nie zadowolił i nie przekonał nikogo swoim optymizmem o rzeczywistym jej celu i charakterze. Nie przekonał dlatego, że obok niego wiadome były zarazem fakty, znamionujące dążenia i cele, wręcz sprzeczne z ujawnionymi pozorami, mianowicie, interview z bułgarskim ministrem wojny, gienerałem Paprikowem i ostry ton dziennikarstwa rosyjskiego względem Turcji, wyraźnie nieodpowiadający pacyfistycznym zapewnieniom komunikatu.

W takich warunkach wszystko co z powodu tego dokumentu napisano zagranicą i u nas, musiało wypaść blado i bez znaczenia. Spokojny i objektywny sąd o sytuacji Wschodniej był tak dalece utrudniony, że stał się prawie niemożebny. Do wyjścia z trudności nie przyczynił się także w niczym urzędowy komunikat wiedeński o rokowaniach berlińskich hr. Aerenthala, które odbywały się w tym samym czasie. Pozostał on jednakże głównym a raczej jedynym materjałem, na podstawie którego można było tworzyć mniej lub więcej niepewne przypuszczenia i wnioski.

W tych dniach dopiero przybył do niego nowy komentarz, rzucający sporo światła na dyplomatyczny dwugłos rosyjsko-austryjacki, — a przytym dozwalający rozpoznać pierwsze próby Niemiec do zajęcia na Wschodzie ulubionego przez nie stanowiska uczciwego maklera. Jest to artykuł półurzędówki pruskiej „National Zeitung", najlepszy a raczej wyłącznie prawidłowy klucz do pojmowania tylu powikłanych kwe-

---

21)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

Nad ranem, zostawiwszy chorą pod opieką wdowy, wracałam do siebie; nagle na opustoszałej bielejącej ulicy spostrzegłam mego męża, zbliżającego się z głową zwieszoną; zadrżał, nie mógł znaleźć słowa, jakby zawstydzony. Ogarnęła mnie mieszanina litości i wzgardy. Po uspokojeniu się co do stanu chorej, zaczął tłomaczyć się ze swego nieoczekiwanego powrotu. Przerwałam mu: nie chciałam niczym obrazić drogiej chorej.

Milczeliśmy i w domu. Wkrótce wróciłam do przyjaciółki; po południu przyszedł i on, prosząc o wpuszczenie go choć na chwilę. Obserwowałam go. Lecz ta, która zakłóciła jego spokój, która zdołała zwyciężyć jego chciwość upragnionego stanowiska, nie miała już uroku zmysłowego, który oczarował go. Była biednym więdnącym kwiatem...

Mówiła mu o mnie, mówiła, że byłam świętą dla niej: — „Idź teraz do domu, idź droga, czuję się dobrze. Wypocznę. Przyjdziesz jutro rano, prawda?"

Biedna, biedna istota! Musiałam uledz jej żądaniu. Lecz między mną a mym mężem trwało milczenie. Dopiero wieczorem, po kolacji, gdy ułożyłam dziecko do snu, otworzyły się nasze dusze, moja z zapałem, jego z nieufnością.

Chciał usprawiedliwić zachowanie swe. Ja nie chciałam tracić napróżno tych chwil, przedłużając kłamstwa. Podtrzymywana podnieceniem nerwowym, w którym żyłam od tylu dni, mówiłam tak, jak nie sądziłam, że potrafię. Mówiłam mu to, co mogłabym powiedzieć swemu synowi, gdy będzie dorosłym: nie mógł walczyć — w milczeniu musiał przyznać słuszność mym zarzutom. Słuchał również spokojnie, gdy mówiłam mu o konieczności zerwania tych więzów, gnębiących nas oboje.

Zapytywał mnie teraz niepewny: „Sądzisz tak rzeczywiście? Nigdy nie zdołamy porozumieć się?..." Miałam nadzieję przekonać go.

stji. W kilku treściwych wskazówkach daje on do zrozumienia, że podróż hr. Aerenthala pozostaje w ścisłym związku z przyjęciami petersburskimi a komunikat o tej podróży winien być uważany za pendant komunikatu rosyjskiego. Aby wydobyć z pierwszego sens właściwy, należy transponować i odczytać w znaczeniu odwrotnym, co tam wyrażano pozytywnie. Mężowie stanu, którzy naradzali się w Berlinie, nie chcieli podzielać pesymistycznych poglądów o położeniu na półwyspie bałkańskim, jakie ogłaszano powszechnie w chwili wyjazdu króla Ferdynanda do Petersburga, który miał skarżyć się tam na postępowanie rządu tureckiego w Macedonji i żądać poparcia dla siebie. Jego minister, Paprikow natychmiast po przybyciu do Petersburga oświadczył, że sytuacja w Macedonji jest nie do wytrzymania i kryje w sobie zarody niebezpieczeństwa wojny.

Tymczasem z drugiej strony ambasador rosyjski, p. Czarikow posuwał swoją uprzejmość w Konstantynopolu aż do zapewnienia, że kapitulacje, będące solą w oku młodoturkom, już zostały de facto uchylone. Wpływowe zaś dzienniki rosyjskie, jak *Now. Wrem.* oburzały się na Turcję i dowodziły, że cierpliwość Rosji wisi już na włosku.

Było jednym słowem w tym wszystkim coś, co wyglądało na zapowiedź interwencji rosyjskiej lub przynajmniej na zachętę dla Bułgarji. Przeciw temu kierownicy polityki niemieckiej i austryjackiej chcieli przeciwstawić z naciskiem swój optymistyczny pogląd na utrzymanie status quo na Bałkanach i ostrzedz kogo należy, że Bułgarja z niczyim w świecie poparciem nie może liczyć na możliwość korzystania z domniemanej słabości Turcji. Mówiąc o niezachwianej ufności w siłę i trwałość przymierza z Włochami, komunikat ma na myśli stosunki Wiednia i Berlina z Petersburgiem, a więc chce stwierdzić, że stosunki te będą dobre o tyle, o ile Rosja nie przystąpi do wyciągania następstw praktycznych ze swoich pesymistycznych zapatrywań na sytuację bałkańską.

Wreszcie półurzędowa nota dziennika berlińskiego kończy się następującym oświadczeniem o rokowaniach co do zbliżenia rosyjsko-austryjackiego:

„Prasa rosyjska żąda od Austro-Węgier rękojmi, że polityka tego mocarstwa na Bałkanach będzie pokojowa i umiarkowana, lecz jednocześnie niesie iskrę braterstwa słowiańskiego w sąsiedztwo beczki z prochem bałkańskim. Jedno z drugim się nie zgadza. I to właśnie jest powodem, że pertraktacje o zbliżenie ciągną się tak długo".

Należy przyznać, że bez artykułu „National Zeitung" niepodobna byłoby nawet wyobrazić sobie możności wyciągnięcia tych wszystkich rzeczy z komunikatu, opublikowanego w Berlinie i Wiedniu o rezultacie rozmów Kanclerza niemieckiego z austryjackim ministrem spraw zagranicznych.

Komentarz przytoczony nadaje mu istotnie niespodziane oświetlenie, zupełnie różne od tych, jakie czytaliśmy w gazetach europejskich. Odsłania on zarazem tajemny powód oziębienia w stosunkach przyjaźni niemiecko-rosyjskiej, o czym w swoim czasie donosił *Temps*. Zauważono, iż wszystkie okoliczności towarzyszące podróży króla Ferdynanda do Petersburga przedstawiały cechę wyjątkową. Samo jej trwanie przedłużone, pewne ustępy wynurzeń i toastów, współczesne wypadki na pograniczu bułgarsko-tureckim, projekt serbski o zakupieniu sandżaku Nowobazarskiego od Turcji, — wszystko to psuło niezmiernie usposobienie zarówno w Wiedniu, jak w Berlinie. Odbiciem zaś tego usposobienia była prasa, w której znalazły miejsce szerokie przypuszczenia o tym, że p. Izwolskij powraca do swojej polityki z początków roku ubiegłego, więc i hr. Aerenthal musiał przystosować swoją taktykę do tych samych planów. Co ważniejsza zaś, że w Berlinie pospieszono skorzystać z nadarzającej się sposobności i przez pośrednictwo przytoczonego powyżej artykułu półurzędowego organu wypowiedziano coś w rodzaju przypomnienia, czym załagodzono konflikt zeszłoroczny. Tym sposobem zarazem postawiono się jeszcze raz w roli pośrednika czy uczciwego maklera, z nadzieją odpowiedniego zysku dla siebie.

St. Pyr.

Listy z Galicji.

II.

Narodowa demokracja rozpoczęła swą działalność w Galicji przed kilkunastu laty. Zwolennicy jej z początku składali się prawie wyłącznie z przybyszów z Królestwa Polskiego, którzy objęli „Przegląd Wszechpolski" i przeistoczyli go na organ stronnictwa. Działacze ci zawiązali stosunki z młodzieżą

W tejże chwili zadzwonił ktoś. Wszedł „prorok", którego nie widziałam od dni kilku. Rano opowiedziałam mężowi o jego wizytach i o pracy, jaką dla niego wykonywałam. Lecz ta nieoczekiwana wizyta, wieczorem, po ósmej zbudziła nagle w zburzonej jego duszy całą nizką, brutalną wściekłość, chwilowo uśpioną. Rozmowa wlokła się kilka minut, do chwili, w której przyjaciel postanowił odejść, ściskając silnie mą dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Odwagi!..."

Czułam, że przegrałam. Mój mąż zaczął torturować mnie sarkazmem. Pozwalałam mówić mu, przypuszczając, że tym razem w ten sposób wyczerpie się jego wściekłość. Tymczasem moje bierne zachowanie się pogorszyło sytuację. Podniecony brzmieniem własnego głosu, oskarżał mnie, lżył mego przyjaciela; wreszcie przyskoczył, rzucił mnie na kolana, począł bić brutalnie, a ja broniłam się, podniecona gwałtownym napadem jego wściekłości. Ze swego pokoju wzywało mnie zbudzone, przerażone dziecko.

Zdołałam wyrwać się i pobiedz do łóżeczka, jak ogłupiała. Maleńkie rączki błądziły po mej rozpalonej i mokrej od łez twarzy i drżący głosik szeptał: nie chcę mamo, nie chcę... Nie wracaj już tam do ojca; zostań tu, nie chcę, żebyś płakała..."

Ach, tak, tak! usłuchać tego drżącego, bolesnego głosu. To nie były już te potworne noce, podczas których upodlona dusza bez buntu przyjmowała każde pohańbienie i nie słyszała wezwania życia... Mój syn teraz przygotowywał się do mej obrony, chciał mnie dla siebie, czuł, że jestem dobrą, czystą, buntował się przeciw memu cierpieniu, które ujrzał po raz pierwszy...

Mąż mój położył się na otomanie w jadalni; wzięłam dziecko do swego łóżka i znowu oczekiwałam wschodu.

Gdy podniosłam się, stara służąca badała mnie zaniepokojonymi oczyma. Co dosłyszała ze swego pokoiku? Patrzała na mnie z wzrastającą litością, potym zaczęła gorąco całować czerwone znaki na mych rękach.

Czy i ona przypominała sobie godziny mąk? W jej oczach malował się często niemy wyrzut pokrzywdzonych zwierząt.

W południe, przy obiedzie nie przypominam sobie, w jaki sposób powstała nowa scena, wiem tylko, że nagle poczułam mego syna silnie przyciskającego się do mych piersi, a przed nim mego męża, chcącego oderwać go ode mnie, rozkazującego mu iść z nim, jechać z nim, zostawić mnie samą z mymi szaleństwami...

Śmiał się brutalnie, gdy powtórzyłam mu propozycję separacji: jestem panią siebie, mogę zostać, zara-

akademicką i rozpoczęli wśród niej agitację polityczną pod własnym sztandarem. Zdawało się, że na gruncie galicyjskim narodowi demokraci złączą się, jeżeli już nie zleją zupełnie, z ludowcami, brali bowiem czynny udział w ułożeniu tak zwanego programu rzeszowskiego; wkrótce jednak poszli własnymi drogami.

Na początku ubiegłego dziesięciolecia sytuacja polityczna w Galicji przedstawiała się w ten sposób: stronnictwa konserwatywne t. j. stańczycy (z Galicji Zachodniej) i Podolacy (ze Wschodniej) tracili coraz bardziej grunt pod nogami, gdyż po uzyskaniu żądanych przez siebie koncesji dla kraju w Wiedniu spoczęli na laurach. Nie posiadali właściwie programu dalszego, wszystkie ich usiłowania skierowane były ku utrzymaniu panowania w Galicji, niedopuszczeniu rozmaitych żywiołów demokratycznych i liberalnych do rozrostu i zdobycia wpływu. Konserwatyści popierali tylko interesy rolnicze, lekceważąc zupełnie potrzebę rozwinięcia przemysłu. Nawet istniejący już przemysł naftowy nie był przez nich należycie popierany w Wiedniu...

Tymczasem społeczeństwo się demokratyzowało i szersze jego koła, zwłaszcza inteligiencja, była coraz bardziej niezadowolona z polityki konserwatywnej.

Obok konserwatystów istnieli w Galicji także demokraci. Ich fizjonomja polityczna nie była jednak zupełnie wyraźna, taktyka zaś odznaczała się chwiejnością i brakiem stanowczości. Ówczesna demokracja galicyjska, jak i dzisiejsza zresztą, nie posiadała określonego programu politycznego: żądania jej dotyczące reformy wyborczej do sejmu i parlamentu były bardzo umiarkowane i stawiane jakby z konieczności: szerszych reform socjalnych nie pragnęła, natomiast pracowała dużo na polu kulturalnym i oświatowym. W znacznej części rekrutowała się z tych samych warstw, co konserwatyści; stąd jej chwiejne w walce z nimi stanowisko.

Demokracja nie mogła więc być przeciwwagą konserwatystów i nie budziła zaufania tych, co z nich byli niezadowoleni. Posiadała kilka wybitnych jednostek, jak np. Romanowicza i Rutowskiego, ludzi o szerszych widnokręgach, Rottera, człowieka bardzo energicznego i niemal radykała w zachodnio europejskim znaczeniu; ci działacze jednak nie mogli zrównoważyć ogólnej słabości całego stronnictwa.

Ludowcy byli partją chłopską, która obudziła do życia politycznego lud wiejski, w miastach byli słabi i nie posiadali szerszej koncepcji politycznej.

Po za tymi stronnictwami byli socjaliści...

W takich warunkach nowopowstająca demokracja narodowa ze swą krzykliwością, frazeologją i zręcznością organizacyjną mogła się pokusić o zdobycie zwolna poważnego wpływu.

Przywódcy narodowej demokracji postanowili działać przedewszystkim w kierunku najmniejszego oporu, na początek nie kusili się o stworzenie partji politycznej, lecz postawili posterunki w instytucjach oświatowych i w stowarzyszeniach bezpartyjnych. Zwolna opanowali Towarzystwo Szkoły Ludowej i Sokoła, niektóre instytucje finansowe, jak Akcyjny Bank Związkowy, założyli Galicyjską Kasę Zaliczkową.

Jedną z najważniejszych zdobyczy było opanowanie *Słowa Polskiego*, wielkiego dziennika, założonego poprzednio przez Stanisława Szczepanowskiego i skupiających się około niego demokratów.

Obok tego przywódcy narodowej demokracji starali się zjednać sobie poszczególne jednostki wpływowe jużto w życiu towarzyskim, jużto gospodarczym, albo politycznym.

Jednym z pierwszych galicjan, który zaciągnął się pod sztandar narodowej demokracji był pan Ernest Adam, obecnie poseł do sejmu i dyrektor Galicyjskiej Kasy Zaliczkowej, człowiek zdolny, energiczny, obeznany gruntownie z życiem ekonomicznym Galicji, cieszący się szerokim uznaniem. Pan Adam jest zdolnym finansistą i jednym z najgorliwszych kierowników Tow. Szkoły Ludowej.

Przywódcom narodowej demokracji udało się stosunkowo prędko pozyskać drugiego człowieka, który się wybił obecnie w życiu politycznym Galicji, a po części i Austrji, prof. Głąbińskiego, z zawodu ekonomistę.

Pan Głąbiński w chwili, kiedy związał się z narodową demokracją, był już posłem i człowiekiem znanym w Galicji. Jako profesor teoretyk nie odznaczył się dotychczas żadnymi przymiotami i nie wykazał żadnej samodzielności naukowej; jako ekonomista praktyk zna niezawodnie dobrze życie gospodarcze Galicji i Austrji, jest bardzo pracowity i może w razie potrzeby zabrać głos w prasie albo w parlamencie i uzasadniać swe poglądy za pomocą różnych danych statystycznych i innych. P. Głąbiński nigdy nie był i nie jest czystym narodowym demokratą; przystąpił

---

biać na życie w jaki sposób zechcę, lecz syn towarzyszyć mu będzie wszędzie!

Mały patrzał na mnie przerażony.

Och dziecko, dziecko moje!...

Czyż nie umarłabym, gdyby wyrwał mi je? Było moją krwią, moim życiem, było moją nadzieją to ciepłe, drżące ciałko, które trzymałam w ramionach.

Z wysiłkiem odepchnęłam rozkaz mego sumienia bezlitośnie jasnego. Nie chciałam umrzeć: aby żyć, musiałam uledz.

Poczuł, że zwyciężył, zniżył ton głosu, zwolnił potok słów ohydnych. Może w nocy zbadał sytuację, może nakreślił sobie sposób postępowania; może spostrzegł, że złudzenia sentymentalne, którymi otaczał się w ciągu ostatnich miesięcy, znikały; znowu gotów był bez żadnych względów wyrwać życiu jedynie dobro materjalne — wystarczające mu.

Może już przedtym był pewnym, że groźba odebrania mi syna zmusi mnie do poddania się. Uspokoił się, zdołał nawet uśmiechać się, wspominając zaszłe sceny; zdaje się nawet, że przepraszał mnie.

Postanowiliśmy, że zostanę w Rzymie dopóty, dopóki stan przyjaciółki nie przestanie być groźnym.

XIX.

Na trzy dni przed wyjazdem męża spotkałam na ulicy swego przyjaciela; byłam z małym. Zbliżał się zamyślony, nieco zgarbiony, i nagle spostrzegłszy nas, zmienił się cały pod wpływem jaśniejącego uśmiechu, który pokrył jego twarz. Spotkanie się z nami sprawiło mu więc przyjemność?

Wziął za rękę mego syna i począł zadawać mu niektóre z tych pytań, pełnych poważnej serdeczności, które wstrząsają radośnie serduszkiem dzieci, a które tak niewiele osób umie znaleźć. Ja przeżywałam myślą scenę z przed kilku dni; wstyd i oburzenie nie pozwalały mi mówić. Dopiero gdy zaczął pytać mnie, zdołałam zaznaczyć tylko zazdrość mego męża i niemożliwość widywania go u mnie. Przeczuwał to, lecz słysząc z mych ust potwierdzenie, żachnął się pogardliwie. Potym, gdy powiedziałam mu, że zrzygnowałam z niezależności, że aby nie być rozłączoną z synem gotowa jestem wrócić do fałszywego nędznego życia— ogarnął mnie smutnym, braterskim spojrzeniem, lecz nie wyrzekł słowa. Nie przyznając się do tego sama przed sobą, byłam nieco rozczarowaną i smutną; zdawało mi się, że odruch litości, nawet pogardliwej, wyrzut — bardziej dodałyby mi odwagi.

Wieczorem, podczas gdy dziecko bawiło się na

zaś do tego stronnictwa dlatego, że potrzebował oprzeć się na kimś w życiu politycznym. W obozie demokratycznym było mu ciasno. Należał zawsze do ludzi umiarkowanych, nie był nigdy ani skrajnym konserwatystą, ani szczerym i konsekwentnym demokratą. Narodowa demokracja pociągnęła go swą frazeologją nacjonalistyczną, popularną we Wschodniej Galicji, gdzie działał; zwabiła go też jako nowość. W życiu politycznym p. Głąbiński posiada więcej taktu od narodowych demokratów, nie mając tej arogancji co oni, ani tej namiętnej przyjemności propagowania ideologji reakcyjnej. Dla narodowej demokracji zjednanie p. Głąbińskiego było bardzo ważne. W jego osobie zdobyła bądź co bądź wybitnego posła, człowieka znanego i dość zręcznego, którego nie mógłby zastąpić nikt z jej przywódców, pochodzących z Królestwa.

Trzecią osobistością, pozyskaną przez narodową demokrację i zajmującą wybitne stanowisko w życiu towarzyskim Lwowa, jest były prof. w Dublanach, p. Jan Gwalbert Pawlikowski, brat znanego dyrektora teatru. Jest to człowiek bogaty, skoligacony z wpływowymi rodami w Galicji, z zawodu ekonomista, z upodobania estetyk, pod względem politycznym zupełne zero. P. Pawlikowski jest prezesem stronnictwa Jest to w nim postać czysto dekoracyjna, ale potrzebna.

Później do stronnictwa przystąpili jeszcze prof Buzek, zdolny statystyk, poseł do parlamentu oraz prof. Stanisław Grabski, eks-socjalista, współpracownik *Przedświtu*, autor zabawnych artykułów o technice przyszłego powstania w Królestwie, które podpisywał pseudonimem Mazur, co już wielokrotnie stwierdzone zostało, a niedawno przez krakowski *Naprzód*.

Prof. Buzek opracowuje rozmaite szczegółowe projekty prawno-polityczne stronnictwa, zbiera potrzebne informacje i t. p. P. Grabski jest politycznym redaktorem *Słowa Polskiego* i organizatorem stronnictwa. On jest zakulisowym reżyserem wszystkich machinacji narodowej demokracji w Galicji, inicjatorem demagogicznych wycieczek przeciwko niemiłym stronnictwu osobom i t. p.

Grabski jest zarozumiałym człowiekiem, autorem kilku lichych książek, pełnych pretensji[1]). Obecnie stara się zatrzeć swą przeszłość socjalistyczno-rewolucyjną wygłaszaniem dziwacznych teorji z katedry.

Jako „macher" partyjny odznacza się bezwzględnością i arogancją, która budzi nieraz niezadowolenie u wielu członków stronnictwa. Pomocnikiem jego jest młody profesor-historyk Stanisław Zakrzewski, głowa mętna i chaotyczna...

Ogół stronnictwa składa się przeważnie z urzędników, drobnych mieszczan i inteligiencji...

Szowinizm antyrusiński dogodny jest dla tych kół, które obawiają się konkurencji ze strony Rusinów.

Narodowa demokracja związana jest węzłem sympatji ze wschodnio-galicyjskimi konserwatystami, z którymi zazwyczaj występuje razem w sejmie i parlamencie. Okoliczność ta zwiększa jej wpływ i znaczenie.

W krótkim stosunkowo czasie zdobyła pozycję dość silną; aż do ostatnich czasów liczba jej członków wzrastała szybko, tak, iż obawiać się było można w bliskiej przyszłości jej dyktatury w kraju.

Obecnie jednak sytuacja się zmieniła. W rozwoju stronnictwa nastąpił zastój, po którym rozpocznie się prawdopodobnie odpływ.

Ta zmiana fortuny objaśnia się tym, że narodowa demokracja zawiodła w stopniu znacznym nadzieje w niej pokładane.

Przyswoiwszy sobie myśl p. Studnickiego o wyodrębnieniu Galicji, zarzucała ciągle innym stronnictwom, że nie są polskie, że nie myślą o przyszłości, że nie starają się wzmocnić samodzielności kraju w obec rządu i t. p. Tymczasem okazało się, że w praktyce jej polityka nie różni się niczym od konserwatywnej i jest prowadzona z dnia na dzień.

Walka narodowej demokracji przeciwko Rusinom nic nie dała społeczeństwu polskiemu, natomiast wpłynęła na ożywienie ich działalności narodowej.

Arogancja narodowej demokracji, jej niesumienność w walce z innymi stronnictwami i jednostkami obudziła reakcję w społeczeństwie. Jej nadmierne apetyty polityczne zmusiły inne stronnictwa do samoobrony. Konserwatyści krakowscy (stańczycy), demokraci i ludowcy występują często razem przeciwko narodowej demokracji i podolakom. W ten sposób dwa te bloki równoważą się, żadna ze stron nie może zdobyć stanowczej przewagi, każda z nich jednak może udaremnić plan innej.

W łonie samej narodowej demokracji nastąpił

[1]) Jego niemiecka rozprawa o metodologji nauk społecznych jest napisana pod wpływem Stammlera, bez należytego przetrawienia jego teorji, spotkała się też ze złośliwą krytyką specjalistów.

---

dywanie przy piecu, nagle siły i odwaga opuściły mnie...

Siedziałam przy biurku z głową ukrytą w dłoniach, z piersiami wstrząsanymi gwałtownym łkaniem, z twarzą zalaną łzami... Mały przez chwilę patrzał na mnie zdumiony i przestraszony, nigdy nie widział mnie tak płaczącą... Naprożno przyciskał się do mych kolan, pieścił mą twarz, szeptał mi dziecinne słowa miłości, by uspokoić płacz mój. W końcu pochwycił pióro z biurka i wsuwając mi je między palce, mówił: „Mamo, mamo nie płacz... pisz mamo... pisz.. ja będę grzeczny; nie płacz.

Ach, bolesne zgięcie tych kwitnących usteczek, i to utkwione we mnie inteligientne spojrzenie!...

Brał udział w mym cierpieniu całym męztwem swej kochającej duszyczki. A ja musiałam przyjmować jego poświęcenie, ja, jego matka, ja, która marzyłam o rozkoszach, o zwycięztwach dla niego.

Pisać?... Moja mała, droga istota odczuwała konieczność mego zupełnego zatopienia się w pracy i marzeniach. Mój syn nie był zazdrosnym, nie był despotycznym egoistą w swym uczuciu; myślał o mym ocaleniu, o nieznanych mu potrzebach mej duszy, nie domagał się zapełnienia mi sobą tylko życia. Lecz co począć z tym piórem, które podawały mi paluszki różowe? Co pisać? Moje cierpienia odbijały się i na marzeniach mych, które stawały się nietrwałymi, pełnymi ironicznych przeciwieństw utopjami.

Myśl moja pobiegła ku przyjacielowi. On nie umiał poradzić mi. Czym byłam dla niego? W stosunku do wszystkich i do mnie był jak przechodzień, pochylający się nad dzieckiem i pozostawiający je przestraszonym i płaczącym z powodu jakiegoś drobnego cierpienia, które mógłby z łatwością uspokoić. Mógłby? Dziecko wierzy. Ja, ja też prawie wierzyłam.

Po raz pierwszy zadawałam sobie pytanie, czy życie, które wiódł, zamiast oczyszczaniem i doskonaleniem się, nie było znieczulaniem się, niepotrzebnym okrucieństwem... Jakie Słowo życie to mogło wyrzec?

Wierzył, że wybiła godzina oznajmienia tego Słowa światu, i czekał tylko chwili sposobnej do rozpoczęcia obrządku.

I podczas gdy on przygotowywał liturgję, ja tonęłam, przyjaciółka moja dogorywała; mogłam umrzeć i ja! Czyż nie było w tym wszystkim czegoś ohydnego?

Położyłam się, lecz sen nie przychodził. Jaką godzinę jasnej świadomości przeżywałam? Odkąd, przyciskając syna do piersi, zrzekłam się wolności, nie zastanawiałam się wyraźnie, co mnie czeka.

(D. C. N.)

kryzys: jej część konserwatywniejsza, ale zarazem szczersza niezadowolona jest z jej kursu obecnego i żale swe wypowiada w dwutygodniku *Rzeczpospolita*; jest to opozycja programowo-taktyczna. Jest jeszcze inna, która powstała na tle antagonizmu do p. Grabskiego. W całym stronnictwie można wyczuć pewnego rodzaju rozczarowanie i zmęczenie.

Ludwik Kulczycki.

Rola Gminy żydowskiej w procesie asymilacji mas.

(Przyczynek do kwestji żydowskiej).

..."W naszym interesie narodowym leży popieranie asymilacji i zwalczanie separatyzmu. Koniecznym jest zorganizowanie odpowiedniej akcji społecznej, nim będzie zapóźno".

Prawda, Nr. 7. 1910.

Cytowany numer *Prawdy* w artykule wstępnym, zatytułowanym „Dwa programy", jędrnie uzasadnia *konieczność* asymilacji mas żydowskich. Stwierdzenie *konieczności asymilowania* się żydów, osiadłych w Polsce, na ziemiach polskich, samo *stwierdzenie tej konieczności*, nie jest dostatecznem: trzeba wskazać, kto asymilacją mas żydowskich zająć się winien i w jaki sposób ją przeprowadzić, innymi słowy: od czego proces asymilacji rozpocząć.

Niechaj nam wolno będzie kilka słów w tej kwestji powiedzieć.

„Ze stanowiska czysto ludzkiego reforma żydów znaczyła wskrzeszenie narodu moralnie umarłego, oddanie go napowrót ludzkości, dla której prawie już był stracony". Tak pisał jeszcze 35 lat temu znakomity nasz socjolog, d-r Ludwik Gumplowicz. I słowa te nie były nigdy może trafniejszymi, niż są one dzisiaj. Przypominając tu zdanie prof. Gumplowicza, pragniemy podkreślić i zaakcentować, że naród żydowski (czytaj: masy żydowskie) istotnie moralnie umarł; by zaś „oddać go napowrót ludzkości", trzeba go wskrzesić, to znaczy zreformować.

Wiemy już, na czym reforma ta ma polegać: na asymilacji. Wytknijmy więc dla niej linję działań i wskażmy, komu, wskutek różnych zrządzeń losu, przypadła w udziale główna rola tej wielkiej akcji dziejowej i kulturalnej.

Szczęśliwym, czy nieszczęśliwym zrządzeniem losu, główna akcja czynna przypada obecnie w udziale gminom żydowskim i t. zw. kahałom w Polsce.

Warszawska gmina żydowska, prowadząca sprawy gospodarcze i religijne żydów, kierująca oświatą i wychowaniem dzieci proletarjatu i obracająca budżetem rocznym, wynoszącym 399,103 rb. oraz majątkiem, sięgającym 1,323,119 rb. [1]) — jedynie w stanie jest ująć ster akcji w swoje dłonie. Nikt inny tej roli podjąć się nie może. Nie może podjąć się jej inteligiencja żydowska, dążąc bowiem do zupełnego zespolenia się z ludnością rdzenną, zerwała więzy, łączące ją z ludem. Konstatujemy więc fakt—bolesny i smutny — że inteligiencja żydowska, aczkolwiek w małej tylko części spolszczona całkowicie, ludem swym się nie zajmuje. Natomiast nieproszoną opiekę roztoczyli nad nim nacjonaliści — w ogromnej większości przybysze z Rosji — i rabinat, ten sam rabinat, który na „kongresie" swym w Warszawie domagał się zamknięcia szkół dla żydów i żydówek. Co pod ich, nacjonalistów i rabinatu, opiekuńczymi skrzydły zrobiło się z duszą ludu żydowskiego? — wiemy wszyscy, bo codziennie kłuje to nam oczy i rani serce. Naród żydowski, wskutek szarpania go na wsze strony, upadł bardzo nizko; życie jego umysłowe zagrzęzło w bezmyślnym i bezowocnym scholastycyzmie; tęsknota — wynikająca z absolutnej nieznajomości stanu kultury dzisiejszej wskutek ciągłego przebywania w murach Ghetta i z głębokiej, często i fanatycznej religijności— za niepowrotną przeszłością przygnębiła go, a nieprzyjazne stosunki społeczne i częste prześladowania uczyniły, że w wiecznej obawie o jutro i ciągłej walce o kęs chleba, zajął się troską o życie materjalne; całe zaś życie psychiczne poświęcił już wyłącznie modlitwom i praktykom religijnym, oczekując z tej strony zbawienia dla siebie. Pozostała mu więc jedynie religja — i ta — wskutek zupełnie zrozumiałych przyczyn — wtrąciła go w mroki Ghetta, przepaść nędzy i otchłań golusu.

Jakiż to smutny typ przedstawia ogół żydowski?!

Typ ten na innym miejscu określiłem w sposób następujący:

„Po raz tysiączny ustami całego świata cywilizowanego powtarzam, że kultura współczesna nie może śród siebie znieść takiego typu. Musi on albo zmienić się, albo zginąć. Jest on bowiem zaprzeczeniem kultury. Typ ten, biorąc rzeczy zupełnie objektywnie, utracił prawa do życia, do istnienia. Cały świat cywilizowany stanie z nim do walki i — zwycięży. Jeśli taki typ ma być wyrazem „semickości", to cały świat musi być antysemitą! Tej prawdzie psychologicznej musimy spojrzeć w oczy". [2]) Zaznaczamy też przytym, że odpowiedzialność za hodowlę takiego typu, będącego w ostatecznej swojej formacji karykaturą naszego stulecia, kładziemy pośrednio na barki zarządu warszawskiej gminy żydowskiej, zajmującej się oświatą proletarjatu.

Czyż nie czas jeszcze wziąć się do tej *racjonalnej* hodowli, środkami i sposobami, wskazanymi przez naukę i kulturę?

Odpowiada na to pytanie wstępny artykuł *Prawdy*, podkreślając, że koniecznym jest jaknajprędsze „zorganizowanie odpowiedniej akcji społecznej, nim będzie zapóźno".

Życie żydowstwa polskiego, podkłady, na których żydowstwo u nas się rozwijało — jeśli wogóle można tutaj użyć terminu *ewolucji* zamiast *inwolucji*— winny ulec natychmiastowej i gruntownej transformacji. W trzech kierunkach jednocześnie transformacja ta powinna być przedsięwzięta: prawno-społecznym, religijnym i kulturalno-oświatowym. [3])

Prawno-społeczna reforma tyczy się *zmiany prawa wyborczego* przedewszystkim. Obecnie prawo wyboru członków zarządu gminy przysługuje tylko opłacającym składkę od rb. 15-u rocznie. Prawo to zostało wydane dnia 18 marca r. 1871, kiedy cenzus majątkowy był zalecany nawet przez ówczesne sfery postępowe. Obecnie jednak jest on anachronizmem — powinien być zniesiony na korzyść prawa wyborczego demokratycznego, czteroprzymiotnikowego. Z liczby blizko 300,000 żydów warszawskich, tylko 7,000! opłaca składkę gminną. Z tych 7,000 tylko 2,800 płaci co najmniej 15 rublową składkę roczną i ci też wybierają zarząd Gminy. Zarząd, wybrany przez 2,800 osób, stanowiących zaledwie jedną setną część ogółu mieszkańców i składających się z jednej tylko klasy ludzi — uprzywilejowanej i w większości konserwatywnej, a także i nacjonalistycznej — nie może reprezentować całości in corpore; — to jest jasne! Z tego też powodu objawia się powszechna niechęć płacenia składek (mniejszych od 15-u rb.), z tegoż powodu zarząd gmi-

[1]) Cytujemy za „projektem budżetu zarządu warsz. Gminy Starozak. na r. 1910".

[2]) *Myśl Niepodległa* Nr. 88 r. 1909.

[3]) O reformach kulturalno-oświatowych pisaliśmy obszernie w *Kurjerze* lubelskim.

ny nie cieszy się sympatją mieszkańców, przeciwnie: na każdym kroku spotyka obojętność, niekiedy nawet przeciwdziałanie, nienawiść i t. d. I nic dziwnego. Wszyscy patrzą się krytycznie na działalność zarządu Gminy żydowskiej, nie widzą bowiem żadnej pozytywnej korzyści, żadnych konkretnych rezultatów jego pracy. „Ciemnota była i ciemnota jest; nędza była i nędza jest; naród cierpiał i cierpi dalej i żadnej ulgi ni pomocy realnej ze strony Gminy nie widać" — oto, co mówi lud poborcom składki gminnej. Nietylko, że zarzutów tych obalać nie możemy, lecz jeszcze je uzupełnić nieco należy. Straszliwe ubóstwo śród żydów polskich, o czym niżej będzie mowa, nie jest wcale figurą retoryczną. Kurcjusz, Kmicic, d-r Sofer i inni zebrali cyfry przerażające, w strasznych barwach malujące nędzę żydowską. I zarząd Gminy, pomimo, że obraca miljonowymi kapitałami, dla zmniejszenia nędzy śród żydów, można powiedzieć śmiało, nie narażając się na zarzut jednostronności lub paradoksalności, prawie nic nie robi! Nie jest to tajemnicą dla nikogo, a zresztą systematyczna putrefakcja mas żydowskich w brudnych, ciemnych i wilgotnych lochach podziemnych, zw. mieszkaniami robotniczymi i żebractwo, dochodzące do granic wprost niewyobrażalnych — dostatecznie potwierdzają nasze tezy. Sprawiedliwość każe nam również zaznaczyć, że Gmina, nie mając poparcia ze strony ludności, bardzo wiele zrobić nie może. To też dlatego właśnie trzeba zmienić ordynację wyborczą w ten sposób, by cała ludność wybierała zarząd Gminy i przez to obowiązana była okazać mu swoje poparcie. Niech Gmina żydowska zapamięta, że dopóki prawo wyborcze nie będzie przysługiwało wszystkim członkom Gminy, od roku zamieszkałym w Warszawie, zarząd jej niezdolny będzie do żadnych reform konkretniejszych i demokratyczniejszych i nie będzie się cieszyć zaufaniem ogółu.

Reformy w kierunku religijnym mają znaczenie niemniej poważne i zasadnicze. Powinny być przedsięwzięte rozległe środki celem zniesienia tych wszystkich przesądów i zabytków czasów barbarzyńskich, które utrzymują lud w ciemnocie i hodują typ żyda średniowiecznego. Zniesienie „mykw", [4]) obrzezania, maglowania trupów, zakazu chowania umarłych w trumnach, świętowania soboty, zniesienie odrębnych strojów, robiących z żyda karykaturę i cel, w który wszyscy powołani i niepowołani godzą mniej lub więcej bolesnymi strzały, — zniesienie tego wszystkiego jest kwestją, której wagę wszyscy oceniamy. Tej samej wagi kwestją jest zamknięcie dla dzieci wszystkich jeszibotów, bethamidraszów, chederów, gdzie dziatwa żydowska, ucząc się w ciągu kilku i kilkunastu lat nauk religijnych, wiejących barbarzyństwem średniowiecza, staje się w końcu anemiczną, pozbawioną myśli samodzielnej i krytycyzmu, zwyrodniałą psychicznie i fizycznie. „Święta" tora i „słodki" talmud, poza tym, że degenerują młodociany umysł dziecka, sprawiają jeszcze, że staje się ono mizoneistycznym i przejętym nienawiścią wyznaniową. Bez całego więc szeregu zasadniczych reform w dziedzinie wychowania religijnego, w sposobie ubierania się, mówienia, w sposobie dokonywania chrztu, zaślubin, chowania zwłok, jak widzimy w całym pasmie życia, poczynając od kolebki i kończąc na pomniku (który u żydów ma również swoje tradycje średniowieczne), bez tych wszystkich zmian zasadniczych, każde usiłowanie asymilacji uważamy za sprzeczne z istotą jej, więc z góry poronione.

Zaznaczyliśmy powyżej, że jednym z podstawowych warunków asymilacji jest zniesienie obrzezania i świętowania soboty. Zdanie to niewątpliwie wywoła burzę. Fanatycy religijni (co wielu z nich wcale nie przeszkadza nosić tużurków i cylindrów) uderzą w bębny na alarm i zawołają, że godzimy tu w samo jądro mozaizmu. Musimy więc dać maleńkie wyjaśnienie, polegające na tym, że zniesienie obrzezania i przeniesienie dnia odpoczynkowego z soboty na niedzielę — *w niczym absolutnie nie sprzeciwia się nawet ortodoksji żydowskiej.*

Leży przed nami praca, wydana jeszcze w roku 1885, p. t. „Projekt reformy w Judaizmie". Autor tej pracy, ukryty pod pseudonimem „Judaista", jest człowiekiem głęboko religijnym i wybitnym znawcą mozaizmu. Otóż niezmiernie religijny ten człowiek tak się wyraża o obrzezaniu: „Obrzęd ten nie jest praktykowany w ludzie ni w Egipcie, ni przez cały czas wędrówki po pustyni. Sam Mojżesz nie dokonywa go na dwuch swoich synach... W całej późniejszej epoce sędziów i królów nie znajdujemy nigdzie wzmianki o jego wykonaniu. Jakąbądź była atoli gieneza tego obrzędu i jakimbądź było pierwotne jego znaczenie, pewnym jest, że dziś praktykowanie jego jest rażącym anachronizmem. Jako akt religijny jest on zabytkiem bałwochwalczym; policzkuje wprost nasze pojęcia o bóstwie" (str. 140, 141).

Autor dowodzi dalej, że zniesienie tego aktu nie narusza wiary żydowskiej, nawet ortodoksyjnie interpretowanej, a istnienie jego nakłada na żydów piętno „azjatyckiego, bałwochwalczego barbarzyństwa"; wreszcie, w myśl zachowania czystości wiary żydowskiej, wypowiada się za zupełnym zniesieniem obrzezania.

O konieczności zniesienia świętowania soboty (co dzisiaj jest potrzebą palącą) tenże autor tak się wyraża: „Sabat, znosząc zeń wszystkie czasowe, kulturalno-biblijne zakazy oraz cały nakupiony nań przez talmud i rabinizm bezmiar rygorów, obostrzeń i zagród, — jako dobę wytchnienia po tygodniowej pracy, poświęconą wstrzymywaniu się od uciążliwej pracy, wspólnej w domu bożym modlitwie [5]) i spokojowi na łonie rodziny, przenosimy na dzień, *przez całą europejską ludność jako taki obchodzony — na niedzielę*" (str. 151).

Zarząd warsz. Gminy żyd. (na nim leży ten obowiązek) powinien poczynić energiczne starania, by taką uchwałę przeprowadzić. Nie zamykamy oczu na trudność tego zadania. Ale trudnością zrażać się nie powinniśmy. Nie uda się jedna próba, uda się druga, trzecia, dziesiąta. Wszak na soborach kościelnych znoszone bywają dogmaty, które przed ich zniesieniem uważane były za objawione.

Tyle co do reform religijnych.

Oczywiście — rzucamy tylko ziarno. Kwiaty i owoce zależne są od tego, jak ziarno to przyjętym zostanie.

Zbliżając się do reform, które mają objąć dziedzinę kulturalno-oświatową, nadmienić tu winniśmy, że reforma w tej dziedzinie życia żydowstwa polskiego jest tak konieczną, tak niezbędną, tak *nagłą*, że odwlekanie jej *ad calendas graecas* — za zbrodnię narodową uważać należy. Albowiem ciemnota ludu żydowskiego i nędza tam zagnieżdżona (przy zupełnie zrozumiałym konserwatyzmie religijnym) to bagna cuchnące, w których wszelkie pleni się zło. Dopóki bagna te istnieć będą — zło nie zginie.

W budżecie Gminy na rok bież. w dziale wydatków jest specjalna pozycja: „Utrzymanie szkół", wykazująca 86,069.43 rb. rocznie na kształcenie dzieci żydowskich. Znaczna ta suma idzie przeważnie: 1) na „utrzymanie szkół religijnych gminnych (Talmud Tora)", 2) na „utrzymanie elementarnych szkół dla żydów" i 3) na „utrzymanie warsztatów rzemieślniczych gminnych dla nauki rzemiosł". Na utrzymanie warsztatów budżet wykazuje sumę 14,700 rb., Gmina jednak daje na ten cel 5,000 rb., reszta zebrana być musi przez specjalny komitet opiekuńczy drogą składek do-

[4]) Nie chcemy obrażać uczuć estetycznych czytelników i o tej par excellence żydowskiej instytucji pisać nie będziemy.

[5]) Słowa te najlepiej świadczą o jego religijności.

browolnych. Utrzymanie 9-iu szkół religijnych (Talmud-Tora) [6]) pochłania sumę 35,974 rb., i utrzymanie szkół elementarnych (jaka różnica zachodzi pomiędzy szkołą elementarną a religijną?) — 31,885 rb. Obie te sumy wynoszą razem blisko 70,000 rb.! Czy jednak szkoły te, pochłaniające tak znaczną sumę pieniędzy, przyczyniają się czymkolwiek do wychowania nowego typu żyda, takiego typu, któryby nie był zaprzeczeniem kultury naszego stulecia i karykaturą europejczyka?... Szkoły religijne i elementarne, utrzymywane przez zarząd Gminy, subsydjowane przez osoby prywatne i pochłaniające przeszło 70,000 rb. rocznie (jeśli dodamy ofiary prywatne), nietylko, że nie urabiają psychiki i charakteru dziecka w duchu wymagań pedagogiki współczesnej, lecz przeciwnie, hodują typ jeńca Ghetta, uważającego najnaturalniejsze potrzeby człowieka za pokusy djabła, zjawisko elementarne — za karę bożą, brudną wodę z sadzawki — za środek na oczy, epilepsję — za opętanie przez szatana i złych duchów i t. d. i t. d. „Szkoły" te oraz różne wstrętne pozycje w budżecie, jak np. utrzymanie „mykw" (1902 rb.), przeróżnych „instytucji" religijnych, na zakup mac i prowiant paschalny dla rekrutów, na najem „kantorów" do odprawiania nabożeństw, na wynagrodzenie magistratowi za egzekwowanie składki gminnej (3000 rb.) powinny być natychmiast zniesione i przeniesione do wydatków na oświatę racjonalną i na zapomogi dla biednych. Pozycję wydatków na szkoły należy powiększyć przynajmniej do 150,000 rb. (co jest zupełnie możliwe i co innym razem uzasadnimy) i za pieniądze te pokryć Warszawę siecią szkół początkowych i średnich, dostępnych dla wszystkich i zarządzanych nie przez „mełamedów", lecz przez ludzi, stojących na wysokości zadania i mających odpowiednie kwalifikacje. Nauczanie elementarne powinno być powszechne, obowiązkowe zarówno dla chłopców, jak i dla dziewcząt — bezpłatne. Język wykładowy — polski, albowiem obywatel kraju musi przedewszystkim znać język i kulturę tegoż kraju. W razie trudności przy wprowadzeniu języka polskiego, jako wykładowego, szkoły natychmiast zamknąć i czekać tak długo, póki język polski nie będzie mógł być wykładowym. Inaczej — nie będzie asymilacji: pojęcie asymilacji mieści się tylko w ramach polskości. Ramy te na żadne kompromisy rozszerzone być nie mogą.

Nie mniej zależny jest proces asymilacji od reform w dziedzinie kulturalnej. Tutaj przedewszystkim wymienić należy *nędzę* i poprawę warunków *higjenicznych.* Nędza żydowska — jak już wspomnieliśmy — wcale nie jest figurą retoryczną. Według d-ra Sofera wszystkiego 3,8 proc. mieszkańców Warszawy w stanie jest opłacać składkę gminną. W Łodzi — mieście ruchliwym i przemysłowym — 18,000 żydów stale żyje z dobroczynności. W Wilnie nędza śród żydów jest jeszcze potworniejszą. [7]) Zauważyć przytym należy, że, według Kurcjusza, podatek specjalny t. zw. „koszerny", podnosi cenę mięsa, używanego przez żydów o $^1/_3$ część. Poza innymi czynnikami, stającymi na drodze asymilacji mas żydowskich — staje także nędza. Nie ulega bowiem wątpliwości, że im kto jest mniej ubogi, tym łatwiej wchłania kulturę, tym szybciej się asymiluje. Więc asymilacja, właściwie jej postęp, związany jest ze zmniejszeniem grasującej śród żydów nędzy.

Czy mówić jeszcze o tym, że Gmina, jako instytucja samorządna, powinna powziąć inicjatywę w najrozmaitszych kierunkach? że powinna wybudować tanie i wygodne mieszkania robotnicze, założyć kilkadziesiąt czytelni i bibljotek, założyć instytucje współdzielcze i kulturalne, zbudować krematorjum, by zapobiec barbarzyńskim ekscesom religijnym na cmentarzach i obniżyć koszty pogrzebu? Czy mówić jeszcze o tym, że potrzebne są u nas tak rozpowszechnione np. w Niemczech „Krankenkasse", lombardy bezprocentowe, kąpiele bezpłatne, stypendja dla uczących się i tyle, tyle innych jeszcze „pięknych wizji bujnej imaginacji"?...

Powtarzamy i akcentujemy jaknajsilniej, że postęp asymilacji znajduje się w ścisłej i bezpośredniej zależności od wymienionych powyżej reform: im wcześniej one będą wprowadzone, tym widoczniejszym będzie postęp asymilacji i tym prędzej wyda ona oczekiwane owoce.

Oto są zadania, zgodne z duchem współczesnych prądów społecznych i wymaganiami doby ostatniej, nad którymi zarządowi Gminy nie wolno przejść do porządku dziennego.

Dłużej utrzymywać naród żydowski w kleszczach Ghetta, ustąpić władzę nad nim obcym, wstecznikom religijnym i zajadłym separatystom, patrzeć się obojętnie, jak duszę jego deprawują, wszczepiając w nią pierwiastki nacjonalistyczno-separatystyczne i szkodliwe przedewszystkim dla samych żydów oraz obce kulturze polskiej — byłoby to najfatalniejszym błędem w taktyce sfer, którym leży na sercu asymilacja.

Czas wziąć się do czynu. Czas wziąć się do budowy pomostu, po którym polskie żydowstwo z ciasnych i zgnilizną ziejących murów Ghetta przejdzie na żyzną glebę cywilizacji europejskiej, gdzie roztoczą się przed nim nowe horyzonty życia, jeśli jeszcze nie pełne kwiecia i światła, to przynajmniej pozbawione piętna średniowiecza i mroków talmudyzmu.

Pierwszą cegiełkę pod budowę tego pomostu powinny położyć zarządy Gmin żydowskich w Warszawie i w większych miastach prowincjonalnych.

Oto ich najbliższa rola w procesie asymilacji mas.

S. Auerbach.

LIBERUM VETO.

Moralność żydowskiego postępu i klerykalnego konserwatyzmu.

Postawię przed czytelnikami kilka pytań, na które odpowiedzi są bardzo łatwe, ale też bardzo ważne dla usunięcia pewnych sprzeczności i wątpliwości w naszej etyce. Chodzi o różnice między obowiązkami i prawami moralnymi „żydowskiego postępu" i „katolickiego konserwatyzmu".

Sprawa ta jest dość stara. Jeden z redaktorów opowiadał mi, że gdy onego czasu zwrócił się do prezesa cenzury ze skargą na szczególne prześladowanie jego wydawnictwa, Ryżów odrzekł: „My nie stanowimy jedynego komitetu cenzury, lecz jest ich w Warszawie kilka. Widzisz pan te nierozpieczętowane koperty? Są to zażalenia rozmaitych władz na prasę. Ta oto korespondencja pochodzi od konsystorza katolickiego. Nie znam jej, ale jestem przekonany, że głównie zawiera oskarżenia przeciwko pańskiemu pismu". Otworzył kopertę i rzeczywiście wyjął papier z nalepionymi wycinkami, komentarzami i religijno-„ochrannymi" ubolewaniami nad szkodliwym wpływem owego pisma. Wiadomo, że tej krytej drogi i innych równoległych używa zwierzchność kościelna w walce z żywiołami wolnomyślnymi. W ostatnich latach wytoczyła ona w zamaskowaniu (za pośrednictwem prokuratury) parę procesów karnych redaktorom i pisarzom. Otóż zachodzi pytanie: jakby to się nazywało w języku etycznym, gdyby postępowcy przesyłali organom rządowym denuncjacje na duchowieństwo i klerykałów, oskarżając ich o działalność prze-

[6]) Już sama nazwa tych szkół świadczy nie o tym, że są anachronizmem, lecz o tym, że degenerują umysł i ciało dziecka — na co mamy dowody.

[7]) O nędzy żydowskiej pisaliśmy obszernie w *Kurjerze lubelskim* i w *Społeczeństwie*

ciwpaństwową? Prawdopodobnie takie czyny znalazłyby się na jakiejś „czarnej liście"?

Gdzie tylko powstaje szkoła polska niepodległa władzy kleru, tam on, bez względu na jej wartość, pożytek a nawet często kierunek, odciąga uczniów i uczennice, buntuje rodziców, stara się ją pozbawić środków, podburza na nią motłoch, obrzuca potwarzami i obelgami w prasie a nieraz doprowadza do zamknięcia. Pytanie: jakby nazwano zabiegi postępowców, gdyby oni w ten sposób osaczali, podminowywali, zniesławiali i niszczyli szkołę polską dlatego tylko, że w niej sponiewierano teorję Darwina lub poprostu dlatego, że nią nie kierują? Może łotrostwem?

Każda instytucja społeczna — stowarzyszenie oświatowe, ekonomiczne, naukowe i t. d. — jeżeli nie da poświęcić swego lokalu, nie zakupi mszy, nie wezwie księdza do rady, chociażby nie dotykała religji i nie zajmowała żadnego stanowiska partyjnego, będzie przez kler lżona i dyskredytowana dopóty, dopóki jej działalność nie zostanie sparaliżowana. Jakby napiętnowano postępowców, którzyby usiłowali zburzyć organizację, mającą na celu szerzenie oświaty lub podnoszenie dobrobytu dlatego tylko, że ją założyli lub prowadzą księża? Czy nie uznanoby ich za dzikie zwierzęta?

Ambona, która ma służyć szczepieniu czci dla dla Boga i miłości dla ludzi, służy zwykle do miotania klątew, wymysłów, kłamstw, oszczerstw na postępowców. Z ust krzewicieli Chrystusowej dobroci, przebaczenia i zgody leją się strugi potwarczego i złośliwego błota. Jakby to nazwano, gdyby z katedr publicznych postępowcy głosili podobne zniewagi i łgarstwa, zarzucając księżom, że są siewcami zepsucia i wszelkich zbrodni? Powiedzianoby może, że wyprawiają orgje paszkwilu?

Księża odmawiają chłopom posług religijnych, terroryzują ich konfesjonałem, wystawiają na urągowisko, bezczeszczą publicznie za to tylko, że ci czytają *Zaranie* lub należą do jakiegoś stowarzyszenia, bojkotowanego przez kler. Jakby nazwano postępowców, gdyby oni podobną tyranję wywierali na ludzi zmuszonych im ulegać? Jeżeli rząd pruski karze urzędników na Śląsku, którzy przy wyborach głosowali za kandydatami polskimi, czyni w zasadzie to samo, co nasi „duszpasterze", prześladujący swe owce za nieposłuszeństwo.

Większość księży żyje w konkubinacie, który ich plącze nieraz w bardzo gorszące stosunki i starcia. To im jednak nie przeszkadza grzmieć przeciwko obrońcom „wolnej miłości", wywlóczyć na rynek sprawy prywatne i splatać je z ogólnymi. Jakby to nazwano, gdyby postępowcy wyprowadzili na widok publiczny księże gospodynie, mniemane „kuzynki", ich nieprawe dzieci i przeróżne zabiegi ukrycia ich? Może uznanoby, że są skandalistami?

Wszyscy autorowie, występujący przeciwko księżom, odbierają listy anonimowe, depesze, apostrofy telefoniczne pełne tak ordynarnych wymysłów, że gorsze nie wyszłyby z portowego lupanaru lub bandyckiej karczmy. Nieraz zdaje się, że to są głosy wieprzów, które w jakimś paszkwilowym cyrku nauczono mówić i pisać. Coby powiedziano o postępowcach, gdyby oni trudnili się taką bezimiennie chlewną korespondencją?

Znamy wielu postępowców, którzy uczestniczą w przedsięwzięciach podjętych przez kler, którzy popierają instytucje przezeń kierowane, którzy umieją ocenić jego dobre czyny i zasługi, dostrzec ziarno pożytku nawet śród jego chwastów. Nie znamy natomiast ani jednego księdza, któryby miał hojną rękę lub bodaj tylko dobre słowo dla działalności postępowców, niepotrącającej wcale o interesy kościelne. Najlepsi milczą i trzymają się zdala; gorsi napastują, szkalują, zniesławiają, szkodzą, nie unikając najpodstępniejszych dróg i najohydniejszych środków.

Może jak istnieje Polska nie było w jej życiu epoki, w której kler buchałby taką wściekłością i przeciwstawiał się rozwojowi wolnej myśli z takim zuchwalstwem. Bo też nigdy ta myśl nie okazała tyle siły i odwagi. Jej dawne bunty objawiały się bardzo skromnie i bojaźliwie a nietykalność chwały duchowieństwa była do zeszłego wieku dogmatem obywatelskości i patryjotyzmu. Właściwie dopiero przed 40 laty rozpoczęło się u nas kruszenie kajdan niewoli duchowej i tyranji klerykalnej, która dziś przybiera coraz większe rozmiary. Już nietylko, jak wówczas, grono ludzi ukształconych prowadzi walkę, ale masy społeczne — w inteligiencji, w ludzie roboczym a po części i wiejskim — pobudzone instynktem samozachowawczym, chcą ratować naród od uwiądu i śmierci, od tego strasznego losu, który dotknął tyle gromad ludzkich, wycieńczonych i zaduszonych klerykalizmem. Czuje to już dziś nawet prosty chłop, który oprzytomniał, przejrzał i dostrzegł niebezpieczeństwo ogłupiania i wyzysku, przykrytych płaszczem pobożności. Dlatego uprzywilejowani od tylu stuleci arendarze i stróże naszej ciemnoty podnoszą gwałt, idą ławą do otwartego ataku lub tajemnego szkodnictwa. Rozprawa z nimi bardzo trudna, bo przewagę daje im nietylko liczba zapaśników i ich środki bojowe, ale taktyka, gardząca wszelkimi skrupułami moralnymi. Postępowcy nie mogą i nie chcą sobie pozwolić na rozkiełznanie się z wędzideł etycznych i w najgorętszych starciach pamiętają o kulturze, uczciwości, obowiązkach społecznych; na przeciwnej stronie wszystkie kiełzna odrzucone, tam wszystko jest dopuszczalne, wszystko godziwe, wszystko uświęca cel — a jest nim pogaszenie niepoświęconych ognisk wiedzy, ubezwładnienie niepoświęconych czynników kultury, zniszczenie świeckich szkół, stowarzyszeń i zakładów, rozpostarcie nad krajem gęstej nocy, zwalenie na lud ciężkiego kamienia tyranji, z pod którego on nigdy wydobyć by się nie mógł. To ma być „urzeczywistnienie królestwa bożego na ziemi" — naszej, nieszczęśliwej, która stała się zwierzyńcem najgorszych i najdrapieżniejszych gatunków ludzkich.

Poseł Prawdy.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ.

Centralne Tow. Rolnicze.

C. T. R. odbyło doroczne zebranie sprawozdawcze, z którego rozwój i pogłębiania działalności naukowej jest widoczne, co szczególniej w działalności nowoutworzonego wydziału naukowego się uwidocznia. Anemja jednak środków materjalnych, która się ujawnia we wszystkich naszych zrzeszeniach kulturalnych, i u rolników czuć się daje, choć wysokie ceny zboża nie usprawiedliwiają ich obojętności dla swej instytucji zawodowej. Dziwnym jednak nam się zdało przemówienie prezesa Towarzystwa Rolniczego, który, wykazawszy ilość członków w liczbie 4,492 osób, wygłosił zdanie słuszne w pierwszej połowie, że liczba ta jest zbyt małą w stosunku do ogółu rolników, że wszyscy w Królestwie do zrzeszeń rolniczych należeć winni i zalecał towarzystwom okręgowym, aby starały się usilnie o pozyskanie pozostałych ziemian, gdyż inaczej, czego ze zdziwieniem wysłuchaliśmy, zwerbują ich dla siebie inne instytucje kulturalne, które tak się nazywają, choć bynajmniej kulturalnymi nie są. Nie wiem, co miał właściwie na myśli jaśnie oświecony książę, czy tow. kultury polskiej czy związek katolicki???

To tylko wiem na pewno, że ujawnił się w tym przemówieniu dawny nasz wąsko partykularny przedrewolucyjny pogląd, że extra Hungariam non est vita, si est vita, non est ita — że można tylko jednemu

hołdować Jehowie, można tylko do jednego należeć stowarzyszenia, w którym i fachową wiedzę i praktykę, religję i politykę uprawiać winniśmy, nie rozróżniając fachowych od społecznych i politycznych instytucji. Tym też trybem i też same osoby pozbawiły fachowy zakład w Kruszynku należnej mu subwencji. Tym też trybem pewien wiecowy agitator rostał dzisiaj instruktorem rolniczym.

A przecie każdy Niemiec należy do kilkunastu vereinów z różnorodnymi wytycznymi celami, wspólną tylko mających konsumcję piwa.

Przecie świeżo zmarły Piotr Górski, choć wielki obszarnik i prezes Towarzystwa Rolniczego, był pionierem postępowych dążeń i reform, jednym z założycieli Tow. kultury polskiej i propagatorem prowincjonalnych jej oddziałów. Ale to był światły i szeroki umysł a takich niestety, mało między ziemiaństwem się zdarza.

Ag.

BADANIA NAUKOWE.

Benedykt Bornstein: **Zasadniczy problemat teorji poznania Kanta.** Warszawa, 1910. Wyd. z zap. kasy pom. dla osób pr. na polu nauk. im. D-r J. Mianowskiego.

Wśród zwolenników i komentatorów Kanta zaznaczył się w ostatnich czasach kierunek, reprezentowany przedewszystkim przez Biehla i Cohma. Kierunek ten widzi w krytyce czystego rozumu dzieło, dotyczące tylko kwestji teorjopoznawczych, a bynajmniej nie psychologicznych. Aprioryzm, twierdzą jego zwolennicy, jestto tylko fakt teorjo-poznawczy. Kant nie przesądza bynajmniej, skąd i w jaki sposób powstały formy myśli aprioryczne. Pozostawia to psychologji. Chodzi mu o zanalizowanie poznania i o oznaczenie jego czynników. Jak się te czynniki tworzyły, niema to żadnego znaczenia dla zrozumienia ich funkcji w danym stanie rzeczy. Jest to oczywiście jeden ze sposobów używanych. dla ocalenia Kanta wobec nacisku krytyki współczesnej. Kant stracił bezwarunkowo wartość, jako psycholog. Chcąc zachować znaczenie jego, jako gnozeologa, należy rozgraniczyć zupełnie dziedzinę teorji poznania od psychologji i wykazać, że teorja poznania, podana przez krytykę czystego rozumu, jest zupełnie niezależna od psychologji.

Przeprowadzenie tego dowodu udaje się naturalnie tylko z pogwałceniem rzeczywistego stanu rzeczy. Autor referowanej przez nas książki staje na wręcz przeciwnym stanowisku. Szuka on zasadniczego problematu Kanta, a znalazłszy go w zagadnieniu stosunku zmysłów do rozsądku, rozpatruje uzasadnienie rozstrzygnięcia go tak w kantowskiej teorji poznania, jak i w psychologji. Mówi on, zupełnie słusznie naszym zdaniem, że system Kanta zawiera nietylko psychologiczne pierwiastki ale nawet „tyleż może metafizycznych, co i teorjopoznawczych elementów". Dlatego też szuka on wyjaśnień „zasadniczego problematu Kanta" nietylko w samej „krytyce" ale i w „Antropologji" i pomniejszych pismach. W ten to sposób otrzymujemy jasny i przekonywający obraz przebiegu ewolucji zasadniczej myśli Kanta i oscylacji jego poglądów około tego podstawowego problematu.

Cóż jest jednak mianowicie tym zasadniczym zagadnieniem Kanta? Już wspomnieliśmy powyżej, że chodzi mu głównie o zrozumienie stosunku zmysłów do rozsądku. W takim sformułowaniu zdawałoby się, że jest to właściwie problemat psychologiczny. Tak jednak nie jest. W głębi chodzi tu o możliwość poznania realności. Kant wychodzi z założenia, że w umyśle ludzkim istnieją dwa źródła poznania: zmysłowość i rozsądek. Jakim sposobem dwa te czynniki mogą współdziałać w powstawaniu wiedzy ludzkiej, w jaki sposób, będąc zasadniczo przeciwstawnymi sobie, mogą łączyć się harmonijnie, jaki jest ich stosunek do przedmiotów niezależnych od człowieka, do Ding an sich, — to starał się Kant w ciągu całej swej pracy filozoficznej wyjaśnić i — w końcu zbankrutował. Zagadnienia nie rozstrzygnął w drodze immanentnej; musiał uciec się do „transcendentalnej prestabilitowanej harmonji", do akcji boga, przy którego pomocy sprzeczności mogą być pogodzone. Na początku swej pracy rozwiązanie tego rodzaju uważał za żadne. W końcu, będąc już starcem, uważa je za jedynie możliwe, nie buntuje się już przeciwko niemu. Autor wykazuje ogromny wysiłek myśli, jaki położył Kant w celu znalezienia rozwiązania immanentnego. Objaśnia on z tego punktu widzenia ciągłym rozwojem myśli o zasadniczym zagadnieniu różnicę pierwszego i drugiego wydań *Krytyki*, przemianę w kierunku idealizmu, jaka w nim zaszła, powstanie rozdziału krytyki o „Schematyzmie czystego rozumu" i t. d. Wszędzie widzimy, jak szarpie się myśl Kanta wśród pojęć przestarzałej psychologji, przekazanej mu przez Ch. Wolffa, jak ciągle operuje on pojęciami władz psychicznych, jak między dwie władze wstawia inne, i jak wszystko to nie zbliża go zgoła do pożądanego rozwiązania. Ciekawa sprawa, związek tak teoretycznego zagadnienia, jak kwestja udziału dwu władz psychicznych w doświadczeniu, z kwestją pogodzenia wiary i rozumu! A przecież był to jeden z motywów zasadniczego znaczenia, które skłoniły Kanta do jego poszukiwań na powyższy temat.

Na niewielu polach wiedzy może myśl polska pochwalić się tak wielkim i szybkim postępem, jak w dziedzinie filozofji. Jeszcze dwadzieścia lat temu mógł wyrazić się Piotr Chmielowski: „Nie wiem, czy znajdzie się w Polsce choć parę osób, któreby czytały Kanta"... Dziś mamy już przekłady dwu podstawowych dzieł Kanta, a nawet zaczyna się tworzyć polska kantowska literatura. Wśród tej ostatniej najpoczesniejsze miejsce zajmie z pewnością praca B. Bornstejna. Wykazuje ona wszechstronne oczytanie w przedmiocie, głębokie obmyślenie zagadnień kantowskich i poważne, a sumienne traktowanie sprawy. Wszystkie te przymioty sprawiają, że książka p. Bornstejna wysoce dodatnie robi wrażenie.

J. Kodisowa.

LITERATURA i SZTUKA.

„Pod znakiem Poetów".

I

Stanisław Korab Brzozowski: **Nim serce ucichło.** Warszawa. Nakład J. Mortkowicza. 1910 r. Wydawnictwo „Pod znakiem poetów".

Nie możemy nie widzieć pozornej może, w nas samych nie znajdującej tłumaczeń, ale nie mniej przeto jaskrawej sprzeczności pomiędzy charakterystyką zmarłego poety, z bolesnym pietyzmem narzuconą w wierszu p. Wincentego Brzozowskiego, pamięci *świetlanej* brata poświęconym, a utworami tej przed-

wcześnie w śmierci zamilkłej, dziwnie subtelnej, rozwiewnej i naprawdę świetlanej duszy.

We wspomnianym wierszu—obok miłością szeptanych, a więc najbliższych prawdy napomknień o owej *świetlaności*, spotykamy „gadów ohydnych pełzające ślady" i „zła korzenie" i „kainowe znamię" i „krzyk jastrzębi" — i postać jakiegoś „Złośnika w ogrodzie" — przeciw któremu „rzędy drzew w alejach mruczały, jak mnichy, egzorcyzmy".

Trudno nam pogodzić te wszystkie atrybuty satanizmu, te wszystkie oznaki godności piekielnej — z poezjami zmarłego. Poezje te są bowiem pełne aż po brzegi niebiańskiej niemal słodyczy, nieustannych uciszeń i ukojeń we własnym sercu i całkowitej pokory tego serca wobec tajemnic życia i śmierci.

O, przyjdź jesienią —
W chwilę zmierzchu senną, niepewną —
I dłonie
Swe przejrzyste, miękkie, woniejące
Na cierpiące
Połóż mi skronie —
O, Śmierci!

Przywołana tą motylą właśnie, a nie żywiołem rozpasaną duszą, śmierć sama odmienia swój kształt odrażający, aby się tej duszy upodobnić... Dłonie jej stały się oto — *przejrzyste, miękkie, woniejące*, a szata, którą przywdziała, — *biała, zwiewna, pajęcza*. Taką jest dusza człowieka, jaką jest śmierć, w jego znaczeniu. Była więc — biała i zwiewna. A jeśli życie samo bywa czasem — przygotowaniem się na śmierć, to i ono wówczas niczem się od niej nie różni, tak samo — białe i zwiewne.

Nie zapomnijmy jednak, że Stanisław Brzozowski żył w czasach, kiedy właśnie satanizm i źle pojęta żywiołowość, wykluczająca wszelką zwiewność i uciszenie, były w modzie.

Nie przesądzamy w tym miejscu wspomnianych kierunków, ale nie dla każdej duszy były one pokarmem odpowiednim i ożywczym. Może właśnie otoczenie, tym kierunkom gromadnie hołdujące, narzuciło zmarłemu poecie maskę nie zgodną z jego obliczem duchowym, która mu tylko ciężyła, krępując i dławiąc zamiary twórcze, zmuszając do milczenia, do poniechania marzeń własnych, do pogardy dla własnej białości i zwiewności. I może śmierć przedwczesna była jeno zdarciem tej maski nienawistnej, pod którą taiła się twarz jakiegoś elfa skrzydlatego, skazanego na bolesne przemilczenie swych marzeń pajęczych, swych baśni tęczowych, swych cudnych nieporozumień ze światem i z ludźmi. Jeśli tak stało się rzeczywiście, to czym dlań było owo otoczenie, jeśli nie „stęchłych wód tonią ołowianą", która sieje „zatrute, zgniłe tchnienie".

Patrząc na wód tych czarne tonie,
Białością swoją przerażona,
Chłonąc wyziewy ich zatrute,
Lilja omdlałe schyla skronie.

Czarowna lilia! Przeraziła się nie „toni ołowianej", lecz własnej swojej białości. Przeraziła się nagle, że jest tak dziwnie niepodobna do wszystkiego, co ją otacza.

Przeraziła się, że jest tylko kwiatem, a nie rozhukaną falą, lub wichrem, lub burzą. I odtąd już nie pozbędzie się swoich przerażeń. Podpatrzmy ją w innej chwili, gdy odtrąciwszy napozór ducha, wyciąga dłonie do ciała w nadziei, iż ono właśnie jest owym żywiołem, który ją w wicher i burzę przedzierzgnie, lecz ono właśnie — krzyżem się dla niej staje i przerażeniem...

Dusza ma, cierniem uwieńczona,
Na białym krzyżu twego ciała
Przybita pragnień mych gwoździami,
Schyliwszy głowę, zwolna kona.

Ja sam, jak Judasz Iskariota,
Za twój namiętny pocałunek
Na dreszcz wydałem ją konania...
Ach, mnie przeraża ta Golgota!

Nie! stokroć lepiej tej duszy wtedy, gdy barwy, głosy, wonie „zlewają się ze sobą, stapiają się w jedną ukojenia harmonję", albo wtedy, gdy „łkają przeciągle dzwony nieszporne, prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnie".

Kto się uważnie wczyta w te niezwykłe, czarem poezji nawskroś prześwietlone utwory, temu może przyjdą do głowy ironiczne słowa Nietzschego: „Nie dość mieć talent! Trzeba mieć jeszcze zezwolenie wasze, przyjaciele moi"...

Tego „zezwolenia" nie miał zapewne zmarły poeta. „Ogół mniejszości" (bo jest i taki ogół, jeśli chodzi o *wybranych*) zapatrzony był wówczas w inne zgoła „fizjonomje duchowe" i pożądał raczej ryku żywiołów, piekielnego wrzasku samego ciała, wreszcie miauczenie kotów, wycia psów — tylko nie szelestu skrzydeł motylich.

Nie mógł więc Stanisław Brzozowski, gdyby nadal pozostał tylko sobą, znaleźć ani miejsca, ani posłuchu na tak rozwrzeszczanym terytorjum twórczym, którego wrzaski i zgrzyty wcale nie odpowiadały najwewnętrzniejszym nastrojom jego zwiewnej duszy. A nie potrafił ani odtrącić obcych sobie kierunków, ani podeptać ich, ani wreszcie własnych narzucić.

Podeptał raczej własną swoją duszę, własne marzenia twórcze. A chwila tego podeptania była jednocześnie — nagłym poczuciem próżni i bezpłodności:

Pod krzyżem dusza ma cierpiąca
Z otchłani czarnej swej nicości
Wznosi pragnienia obłąkane
Do stalowego nieba próżni.

Tragiczna „szczupłość dorobku literackiego", który, nie licząc przekładów i utworów młodocianych, składa się zaledwo z kilkunastu wierszy, przejmie chyca każdego żalem straty i zadumą o śmierci nieprzeznaczonej, którą duch przyjmuje nie z bożej, jeno z własnej łaski, uciekając się do niej w chwilach najwyższej samotności, bo w chwilach, gdy sam przez siebie czuje się opuszczony.

Wspomniana „szczupłość dorobku literackiego" — niechże będzie dla nas małomównością tajemnicy, która, *nim serce ucichło*, zdążyła zaledwo pierwsze swe pieśni wyśpiewać, aby sprobować, czy będzie słuchaną tak, jak tego pragnęła.

Bolesław Leśmian.

NOWOŚCI LITERACKIE.

Stanisław Koszutski: **Nim słońce skończy dzień** Poezje. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Zbiorek poezji pana Koszutskiego zawiera utwory bardzo nierównej wartości: obok sonetów (ulubiona forma autora) o dość silnym polocie wyobraźni i niewątpliwej zdolności obrazowania uczuć mamy cały szereg utworów słabych, pozbawionych własnego życia, które zastąpić ma nagromadzenie pretensjonalnych, gromkich a beztreściwych zwrotów rozmiłowanego w łatwym filozofowaniu poety. Weźmy dla przykładu początek sonetu *Illo die* z cyklu „Kosmos" (podkreślenia moje):

Wszechtwórcza pranicości! W twej pustce *bezdennej*
Tylko echem *bezgłośnem* wielkie huczą dzwony...
Nic i Wszystkość (?) Z *bezruchem ruch* w jedno stopiony
W *bezbrzeżnej*, nieobjętej głębi *bezprzestrzennej.*

Takich miejsc jest pełno w sonetach p. Koszutskiego, a że mam wrażenie, iż autor do swych „filozo-

ficznych" wierszy największą przywiązuje wagę — uważam za obowiązek ostrzedz go i powiedzieć mu otwarcie, że takie właśnie utwory, jak *Illo die*, *Kosmos*, *Zawsze i Wszędzie*, *Wędrowiec*, *Wiem, że myślę* są najmniej w jego książce warte, że o ich rzekomej głębi nie przekona nas bynajmniej nużące nadużywanie różnych *bez*, *pra* i *wszech*, w równie nudnym zestawianiu „bytów i niebytów", „nicości i wszystkości". Niech tylko autor sam posłucha:

Kosmosie! cudny kwiecie w *Wszechbóstwa* ogrodzie,
Odbicie *prasłonecznej* pożarowej łuny!
Potęgo śmierci, w życia spowita całuny,
Nieistnień i *wszechbytów pratwórczy* zarodzie!...

lub (w innym sonecie):

Wraz z *bezdnią* życia, w świetnym rozlaną kosmosie...
Gdzie przez wieki *wszechnicość* była, *wszechznikomość*,
Króluje na czas wieczny bytów *wszechświadomość!*

Ten jałowy werbalizm nie da nam złudzenia panteistycznych uniesień, które autor chce insynuować czytelnikowi. Radzę szczerze p. Koszutskiemu, niech przestanie wmawiać w siebie i w nas, że to co sztuczne, wymuszone — życiem jest i prawdą; niech raczej pogłębia te tony swej lutni, z których dobyć potrafi bardziej proste i bardziej własne dźwięki. Do takich zaliczam sonet wstępny „Nim słońce skończy dzień", silną miejscami inwokację „Pieśń", sonet „Życie" lub pełne szczerego liryzmu „Kwiaty życia". Stanowczo, ta droga prędzej zawiedzie autora do znalezienia istotnego wyrazu swej indywidualności.

W. R.

TEATR MAŁY: **Miłosierdzie ludzkie — Cyrce Mańkowska — Prawo mimicry.** Trzy jednoaktówki Adolfa Nowaczyńskiego.

Na ostatnią premierę teatru p. Zalewskiego złożyły się trzy z „Siedmiu dramatów jednoaktowych" Nowaczyńskiego, napisanych w czasie, gdy dzisiejszy autor „Cara Dymitra" i „Wielkiego Fryderyka" z frenezją urodzonego pamflecisty bryzgał na wsze strony żółcią najjadowitszego sarkazmu w swych świetnych niespodzianych namiętnych wybuchach szyderstwa i nienawiści ku plugawej duszyczce filistra. Dziś, gdy talent znakomitego polskiego satyryka w inną zwrócił się dziedzinę (może będę wyrazicielem żalu licznych wielbicieli jego pióra, gdy powiem: *szkoda*) — miło nam było i chwilami smutno przypomnieć sobie ze sceny *dawniejszego* Nowaczyńskiego. Jakaż tu bujność nieposkromiona, porywająca pieniącego się jak potok górski talentu w owej historji Milczków („Prawo Mimicry"), kostniejących w atmosferze galicyjskiego partykularza, pokrywających ohydną skorupą sobkostwa i despotyzmu domowego różne życiowe łajdactwa, lub schnących beznadziejnie ze swymi szlachetnymi porywami w jałowej pracy gimnazjalnego belfra, z którego dopiero iskra nadziei, że jeden z Milczków wyrwie się z deprawującego środowiska rodzinnego, dobywa wielki szlachetny wybuch bólu, protestu i obrony najmłodszej latorośli kaktusowego rodu. Biedny stryj Kalikst marzy, że bratanek—artysta, jak przedziwna agawa wystrzeli ku niebu kwiatem, co raz jeden na lat sto zakwita. Kaliksta zagrał p. Orliński— i zagrał tak, że porwana siłą jego wybuchu publiczność zbyła się zwykłej rezerwy i zgodną salwą oklasków nagrodziła artystę. P. Orliński tegoż wieczora zaznaczył chlubnie wielostronność swego talentu wykonaniem roli wystawionego przez gminę na licytację starego tragarza w „Miłosierdziu ludzkim" (na tle noweli Konopnickiej). Interpretacja tej postaci stała na poziomie wysokich wymagań artystycznych. Reszta wykonawców z pp. Noskowskim, Ceremużyńskim i p. Bartoszewską na czele czuła się w swym żywiole w tej ostrej, brutalnej chwilami satyrze, pełnej dosadnej charakterystyki drobnomieszczaństwa i chłopstwa szwajcarskiego, jego chciwości i gruboskórności, dochodzącej do nieludzkich przejawów okrucieństwa.

„Cyrce Mańkowska" przenosi nas w świat od mienny, w świat półświata, czy w półświat świata, bo ostatecznie określenie *demi-monde* jest mimowolną humorystyką, skoro tak niezbędną w jego egzystencji rolę grają przedstawiciele *mondu*, w najwyższym towarzyskim tego słowa znaczeniu. Dramatyczny pierwiastek w tej sztuce autor traktuje ubocznie i powierzchownie, główny kładąc nacisk na charakterystykę wielkomiejskich kurtyzan, naszkicowaną bardzo zręcznie, dowcipnie i żywo. To też p. Pawłowska, jako żona p. Thugutta, bogatego protektora Cyrce-Mańkowskiej, nie miała pola do szerszego rozwinięcia zasobów swej uczuciowości; autor obszedł się z tą postacią dosyć szablonowo i nie chciał czy nie potrafił losem jej żywiej nas zająć. W tytułowej roli wystąpiła gościnnie p. Mrozińska, artystka „Momusa"; debiut powiódł się: p. Mrozińska potrafiła utrzymać miarę artystyczną w tej swawolnej roli i nadać swemu humorowi obowiązujące na deskach teatralnych piętno dobrego smaku.

Pełną groteskowego komizmu rolę „inteligientnej" kokoty powierzono p. Tarłównie — i uczyniono dobrze; młoda artystka wywiązała się z zadania zupełnie zadawalająco, podkreślając umiejętnie charakterystyczne momenty roli; brak wyrobienia scenicznego zdradzała p. T. tu i owdzie, lecz pamiętajmy, że był to pierwszy występ młodej adeptki sztuki dramatycznej. Rolę pięknej, leniwej, obojętnej na to, co się dokoła niej dzieje, trzeciej „koleżanki", noszącej *nom de guerre* Monbijou, wykonała p. J. Rutkowska. Artystka ta, obdarzona pierwszorzędnymi warunkami zewnętrznymi, powraca obecnie na scenę teatru Małego (grała za dyrekcji Gawalewicza). Nie miałem sposobności widzieć jej wtedy — więc z sądem wstrzymać się muszę do chwili, gdy zobaczę p. R. w bardziej odpowiedzialnej roli. Mężczyznom dał Nowaczyński w „Cyrce" role nikłe.

W „Prawie Mimicry" odznaczył się bardzo dobrą grą p. Neubelt, jako rejent Milczek, stryjeczny brat profesora Kaliksta. Reszta wykonawców w tej sztuce z pp. Sachnowską, Staszkowską i p. Ratowskim na czele sumiennie sekundowała pierwszoplanowym rolom męskim.

Wacław Rogowicz.

NOTATNIK TEATRALNY.

„Barykada" Bourgeta. Wystawiona w paryskim Vaudeville'u ostatnia sztuka Bourget'a wywołała wielkie zainteresowanie ze względu na temat i tendencję społeczną utworu. Autor „Cosmopolisu" występuje w tej sztuce otwarcie i bezwzględnie w obronie klas posiadających i chce dowieść, że rozwój intelektualny robotnika czyni go narzędziem gwałtu w rękach agitatora, bynajmniej o interesy mas pracujących niedbającego, a rujnując pracodawcę, niszczy kulturę kraju. Bourget twierdzi, że burżuazja w obronie swych przywilejów powinna równie silnie się skupić i działać równie solidarnie, jak czyni to obóz przeciwny; autor bowiem nie wierzy w możność wspólnej kulturalnej pracy. Na zapytanie jednego z interwiewerów, czy istotnie walka klas i wojna domowa jest jego ideałem, Bourget odparł: „To nie mój ideał, lecz istniejący porządek rzeczy. Konkurencja, rywalizacja, wojna istnieją zawsze, zarówno między narodami, jak i między grupami społecznymi. Idealiści gadają nam o solidarności wtedy, gdy robotnicy toczą z nami bezwzględną walkę. Oczywiście, mam na myśli kulturalne środki tej walki z klasą pracującą fizycznie". Za

taki (!) środek autor „Barykady" uważa obronę wyłączności wykształcenia i wyższej kultury, jako przywileju klas posiadających. Robotnikom przyznaje prawo do wykształcenia wyłącznie profesjonalnego. Bourget uważa, że leży to w interesie samych robotników, ponieważ „inteligient i człowiek, pracujący fizycznie — to pojęcia zgoła niewspółmierne. Jeden rodzaj pracy wyklucza drugi, co tłumaczy się właściwościami mózgu i szpiku pacierzowego. Inteligientny robotnik — to człowiek chory, niedomaga i fizycznie, i psychicznie etc. etc." Powyższe poglądy znanego pisarza obozu konserwatywnego są zjawiskiem wielce znamiennym dziś, gdy we Francji głośny teoretyk syndykalizmu rewolucyjnego, Jerzy Sorel, z innych oczywiście wychodząc założeń, do podobnych dochodzi wniosków: nie szukania żadnych kompromisów z burżuazją i wyodrębnienia się zupełnego robotników w celu prowadzenia równie bezwzględnej walki z klasą posiadającą, o jakiej mutatis mutandis mówi Bourget. Obadwaj przytym występują pod hasłem obrony kultury, jako *ideału* społecznego w tej walce — tylko, że każdy z nich gdzieindziej widzi jej szczyty.

Sokół—Dzwonnik—Chantecler. Ruchliwy zarząd Tow. Lit. i Dzien. Polskich urządził dn. 16 b. m. wielki wieczór literacko-artystyczny w Filharmonji na rzecz funduszu emerytalnego Towarzystwa. Wieczór, mający charakter rautu, powiódł się świetnie. Kierownik lit. teatrów rządowych, p. J. Kotarbiński wygłosił konferencję o „Sokole" I. Grabowskiego i „Dzwonniku" W. Kosiakiewicza, utworach, uwieńczonych na ostatnim konkursie dram. *Kur. Warsz.*; fragmenty z „Sokoła" odczytał p. Wostrowski, z „Dzwonnika" p. Frenkiel. Główną atrakcję wieczoru stanowiło wystawienie po słowie wstępnym dyr. Kotarbińskiego dwu ustępów ze słynnego „Chanteclera" Rostanda z p. Tarasiewiczem w roli kura i p. Ordon-Sosnowską, jako bażantką, w oryginalnych ptasich kostjumach. Śpiew p. Margot Kaftal i orkiestra Filh. pod wodzą G. Fitelberga, występującego jako dyrygent i kompozytor („Pieśń o Sokole") dopełniły bogatego i niezwykle pomyślanego programu.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *„Panowanie Wolnej Myśli we Francji"* odbija się bolesnym echem na szpaltach świętobliwych naszych organów. Czytając art. p. Miecznika pod powyższym tytułem (*Dziennik Powszechny*), każdy prostaczek pomyśli niewątpliwie, że niemasz na świecie bezecniejszego i bardziej nieszczęsnego kraju, niżeli Francja, która zmusza kler katolicki, aby czerpał utrzymanie li tylko z dobrowolnych ofiar ludzi wierzących i nie wtrącał się do polityki. Era pochodów krzyżowych minęła bezpowrotnie, to też miecznicy, hajducy i gońce naszego obskurantyzmu, nie mogąc lać ognia i żelaza na bezbożny Paryż, leją nań codziennie kubły zmieszanego z błotem atramentu, poczym niezmiennie następuje refleksja *pro domo sua*:

> Mamyż się łudzić, że z zasiewu naszej wolnomyślnej „Kultury polskiej" piękne kwiaty wyrosną?!..:
>
> Czyż rozkładająca się etycznie, społecznie i politycznie Francja, ta burżuazyjna Rzeczpospolita, na którą katolicy z boleścią, a socjaliści z obrzydzeniem i nienawiścią spoglądają, nie jest zastraszającym przykładem, co fanatyzm, obłuda i zła wola wolnomyślicieli zdziałać są w stanie?..
>
> *Obudźcie się, dobrzy katolicy i dobrzy Polacy wszelkich wyznań, zwalczajcie póki czas „wolną myśl" u nas i wyrywajcie z korzeniem zasiane przez nią zło!*

Zanim rozwój Kultury polskiej i „fanatyzm" wolnomyślicieli zniszczy pełną anielskiej słodyczy etykę wyznaniową — długi czas jeszcze będziemy oddychać jej kojącą atmosferą. Takowa panuje jeszcze niepodzielnie w naszym kraju, gdzie wszędzie potrochu dzieją się wypadki, podobne do niżej wyłuszczonego zajścia. W liście do redakcji *Wiadomości Marjawickich* (Nr. 19) włościanin pewien opowiada, jak miejscowy ksiądz, dowiedziawszy się o jego odszczepieństwie, w gniewie

> wchodzi na ambonę i z tej to ambony wyklina mnie z kościoła, pod karą klątwy zakazuje wszelką pomoc w potrzebie, aby nikt nie przestąpił progu mego, aby mi jako rzemieślnikowi nie dał żadnej roboty. Pobudza żonę mą i dzieci i nakazuje mnie wiązać. I ta dzicz rozwścieczona porywa mnie klęczącego i mówiącego pacierz i powala na ziemię, wiąże ręce wopak, a związawszy kręci kneblem tak haniebnie, że prawie się krew z za paznogci chce dobywać. Dopieroż synowie jeden z jednej a drugi z drugiej strony kolanami gniotą ku ziemi. Tak potrafili pognieść we mnie wnętrzności, że przez dwa tygodnie krew ze mnie płynęła. Syn drugi z rzędu wziął mnie za włosy i tłukł głową o ziemię tak, że mi poodbijał skórę od kości.
>
> Przyjechałem do doktora, a doktór prawowity omało co mi jeszcze nie poprawił. Zaczął mnie łżyć: Nie powinieneś iść do nich, bo to jest ruskie narzędzie, bo oni to przyspasabiają dla moskali, bo to moskale zajmą i przechrzczą na prawosławną wiarę... Zamiast mieć pomoc od doktora, tom został obelżony. I pozostawiłem to i tak sobie postanowiłem, że może się nawrócą i mnie nie będą więcej mordować. Nie prawda, coraz to gorzej i w każdej chwili obawiam się śmierci, bo mi otwarcie powiedział syn, że on się poświęci uczynić z siebie ofiarę: „co mam moskalowi służyć, to przez ten czas odsiedzę w więzieniu i jego majątkiem się podzielimy, poświęcę się dla familji i dla całej parafji, bo mi ksiądz kazał kozła zabić i powiedział mi, że za heretyka niema grzechu". Życie moje wisi tylko na włosku i lada chwila może włosek pęknąć i ja zostanę zabitym.
>
> *Fran. Zapała.*
>
> Aleksandrów d. 21/II 1910 r.

A dzieją się takie rzeczy w chwili, kiedy nie obudzili się jeszcze drzemiący „dobrzy" katolicy na wezwanie p. Miecznika; dzieje się to względem ludzi wierzących, szczerych chrześcian, raczej z hierarchją, niż z dogmatem poróżnionych; cóż dopiero, gdy przyjdzie do czynnego „wyrywania z korzeniem" bezbożnej Kultury polskiej?... Świat zdumieje poprostu, widząc jak niezłomnie przestrzega Polska nakazu etyki ewangielicznej.

* P. J. Wasercug w Nr. 1 *Odrodzenia* ogłosił *Wezwanie do żydów zwących się Polakami*, gdzie, wskazując ostatnią, bardzo zaognioną fazę kwestji, powiada:

> Od szeregu miesięcy słuchacie, co mówi o sprawie asymilacji żydów prasa polska. Rzucono wam — i rzucono mocno — okrzyk: „Idea asymilacji zbankrutowała i nie wprowadzajcie w błąd opinji społeczeństwa".
>
> Polskość wasza jest obecnie przedmiotem powątpiewań w całym niemal narodzie.
>
> Stwierdzono siłę separatystycznych dążeń żydowskich i duży wpływ wywierany na masy przez żydów nacjonalistów.
>
> Wzrasta uczucie niechęci i brak zaufania do żyda, jako takiego.
>
> W procesie dziejowego przeobrażania się stosunków polsko-żydowskich nastąpił teraz moment wysoce poważny, którego następstwa mogą być prawdziwie tragiczne.
>
> Może nastąpić całkowite udaremnienie trwających od stu lat wysiłków nad zbliżeniem żydów do polskiego społeczeństwa.
>
> Może wytworzyć się taki stan rzeczy, że w świadomości Polski zatrze się zupełnie poczucie różnicy pomiędzy

żydem obcym polskości a żydem, przejętym ideałami polskiego narodu.

Może nadejść chwila usunięcia żydów od obywatelskiej pracy na ziemi polskiej.

I wtedy wnuki albo prawnuki wasze będą przeklinać waszą pamięć, żeście nie uczynili nic, by uniknąć tak tragicznego dla nich losu.

Pomruk niechęci do żydów rozlega się niemal wszędzie, i dał się wyraźnie słyszeć ze strony niektórych postępowców polskich.

I cóż wy na to?

Od szeregu też miesięcy tu i owdzie naradzacie się i gwarzycie, jak i coby czynić należało. I nic, nic nie robicie dla dobra sprawy. Albo puste są słowa wasze i nie płyną z głębokiego przejęcia się sprawą, albo już do żadnej obywatelskiej pracy nie jesteście zdolni! A tam — z tamtej nieprzyjaznej nam strony — praca wre! Żargonowe pisma odgrywają coraz większą rolę w masach, głosy nacjonalistów zdobywają coraz większą powagę. To jest fakt i nie zasłaniajcie oczów przed jaskrawością tej prawdy!

Przyszłość zapyta się, co czynili żydzi, zwący się Polakami, dla sprawy asymilacji i może odpowiedzieć będzie mogła z pogardą: „debatowali!“ Są pośród żydów jednostki gotowe życie poświęcić dla pracy asymilacyjnej, lecz przystąpić do niej nie mogą, bo takiej pracy w pojedynkę prowadzić nie sposób.

Jeżeli poczucie obowiązków społecznych nie zanikło w was ostatecznie, to wzywam was, żydów uważających się za Polaków, byście natychmiast przystąpili do zorganizowanej, planowej i metodycznej pracy asymilacyjnej.

W odpowiedzi na to wezwanie, powtórzone przez całą prawie prasę, p. Wacław Mutermilch w *Gazecie Warszawskiej* wystąpił z repliką, która się streszcza w dwuch punktach:

1) Na asymilowanie obcych żywiołów z widokami pomyślnego skutku może sobie pozwolić tylko naród silny politycznie i ekonomicznie. Naród zaś słaby pod obu powyższymi względami i pozbawiony wszystkiego, co do rozwoju narodowego i kulturalnego jest konieczne, całą swą energję powinien zwrócić na walkę o własny byt i na pracę nad własnym swym rozwojem, nie zaś na ekspansję asymilującą.

2) „Polacy pochodzenia żydowskiego mogą okazać polskość swą o wiele skuteczniej i z o wiele większym dla sprawy polskiej pożytkiem przez popieranie w sposób intensywny, pracą i ofiarami, wszystkiego, co polskie, oraz współdziałanie z ludnością rdzenną w pracy nad zachowaniem i rozwojem wszystkiego tego, czego dobro sprawy polskiej wymaga".

Autor, śladem wszystkich dyletantów społecznych, przecina złożony bardzo splot zjawisk skalpelem rozgraniczeń logicznych. Tymczasem, w realnym życiu społecznym „walka o własny byt" i „praca nad własnym rozwojem" bynajmniej nie wyłącza ekspansji asymilującej, lecz właśnie ją powoduje. Co się zaś tyczy „współdziałania z ludnością rdzenną w pracy nad zachowaniem i rozwojem wszystkiego tego, czego dobro sprawy polskiej wymaga" — to dość niefortunnie wybrał się p. Mutermilch z tym słusznym wezwaniem na szpalty pisma, które wszak bardzo niedawno potępiło wszelki udział żydów w pracy kulturalnej polskiej, jako *zgubny* dla stron. Narod.-Dem., a więc — dla „całego narodu".

KRONIKA.

PIOTR GÓRSKI. Odszedł jeden z nielicznych, światłych i postępowych ziemian, co nietylko słowem, ale i czynem dawał świadectwo swoim przekonaniom. Szczerze demokratyczne dążenia oblekł on w swoim czasie w szeroki postępowy program agrarny. Odrzucił mandat wyborcy do rady państwa, ale od początku założenia przewodniczył suwalskiemu towarzystwu rolniczemu, a całej swej okolicy dawał przykład wzorowego gospodarstwa i służenia radą i pomocą młodszej po pługu braci.

Szkółki, ochronki, kółka włościańskie miały w nim opiekuna a rozbitki sprawy narodowej pomoc cichą i serdeczną.

Zmarł na stanowisku, przybywszy do Warszawy na zebranie Tow. Rolniczego, po parogodzinnej chorobie, jeszcze w sile wieku, bo niespełna lat pięćdziesiąt licząc.

Cześć zacnemu druhowi, który tak niedawno jeszcze wśród nas przebywał, pełen świetlanych nadziei lepszej przyszłości, której mu doczekać nie było sądzono.

JUBILEUSZ PROF. T. MASARYKA. W dn. 6 b. m. prof. Tomasz Masaryk, poseł czeski do parlamentu wiedeńskiego, wybitny publicysta, polityk i uczony europejskiej sławy obchodził 60 rocznicę swych urodzin. Całe Czechy uczciły w tym dniu licznymi uroczystymi obchodami tego najszlachetniejszego ze swych ziomków, który w walce o prawdę i postęp nie znał żadnych kompromisów.

W Pradze Czeskiej uroczystości masarykowskie trwały 3 dni. W sobotę, dn. 5 b. m. staraniem koła filozofów urządzony został odczyt prof. Krejczego „O znaczeniu prac naukowych prof. Masaryka". W niedzielę, na wiecu, zwołanym przez czeskie stronnictwo postępowe, prof. Fr. Drtina mówił „O znaczeniu politycznych i narodowych prac prof. Masaryka"; obydwa zebrania odbyły się przy doszczętnie zapełnionych salach, a wszyscy wybitni działacze społeczni i polityczni, przedstawiciele nauki, literatury i sztuk pięknych stawili się, by oddać hołd uczonemu i patryjocie. Wreszcie w poniedziałek, dn. 7 b. m. odbyła się w „Narodnim domu" uczta jubileuszowa, na którą prócz arystokracji umysłowej Czech przysłały delegatów miasta czeskie i korporacje.

KAROL LUEGER. Zmarł w tych dnia Karol Lueger, wieloletni burmistrz Wiednia, wódz stronnictwa t. zw. chrześcijańsko-socjalnego. Jako burmistrz położył olbrzymie dla miasta zasługi, a że umiał, jako urodzony Wiedeńczyk, odczuć doskonale psychologję ludu wiedeńskiego, był najpopularniejszą osobistością stolicy Austrji przez długie lata.

Jako polityk, był często jaskrawym demagogiem, póki nie zdobył sobie ogromnego wpływu i popularności śród ludności Wiednia. Znakomity administrator, zmarły burmistrz posiadał pierwszorzędne zalety na stanowisku gospodarza miasta: dbał przedewszystkim o rozwój stolicy i... nie zostawił żadnego majątku, pr cz 120,000 koron, przeważnie odziedziczonych; a gdy został burmistrzem, pierwszym jego krokiem było zmniejszenie o połowę pensji swych poprzedników: wyznaczył sobie 12,000 koron zamiast 24,000, uważając, że to zupełnie wystarczające wynagrodzenie. Pomimo jego błędów, jako polityka i parlamentarzysty, należy uznać Luegera za osobistość wybitną, a pracę jego dla rozwoju Wiednia za nader cenną; to też śmierć jego obchodzi Wiedeń powszechną żałobą.

HAKATYŚCI ŁÓDZCY. *Nowa Gazeta* podaje fakt, charakteryzujący dosadnie działalność hakatystów łódzkich. Jak wiadomo, przemysłowcy tutejsi wnoszą corocznie składki na utrzymanie 7-klasowej szkoły handlowej zgromadzenia kupców. — Przed kilku dniami z inicjatywy jednego z przemysłowców Niemców, zaczęły krążyć odezwy do fabrykantów i przemysłowców, nawołujące aby nie płacili składek na polską szkołę handlową, proponując natomiast przeznaczenie cofniętego subsydjum na szkołę handlową niemiecką p. Cyrklera. Zebrano już nawet w tym przedmiocie sporo podpisów, a wczoraj zwołano zebranie, na którym uchwalono zwrócić się do ministerjum z prośbą o zwolnienie z subsydjum na szkołę kupców i z przeznaczeniem tej sumy na szkołę p. Cyrklera.

GOŚCIE ROSYJSCY. W tych dniach przybyło do

Warszawy 16 słuchaczek petersburskich wyższych kursów naukowych dla kobiet im. Bestużewa-Rjumina.

Uczestniczki wycieczki, — zorganizowanej przez prof. Pogodina, — udały się przedewszystkiem do pomnika Mickiewicza i złożyły tam piękny wieniec z szarfami w barwach biało-amarantowych i napisem: „Znakomitemu poecie polskiemu — młodzież rosyjska".

Następnie wycieczka — pod kierunkiem członków Tow. krajoznawczego — udała się na zwiedzenie dzielnicy staromiejskiej, katedry, piwnic Fukiera i rynku Starego Miasta.

KONFERENCJE TOW. LIT. I DZ. POLSKICH. Na trzeciej i ostatniej konferencji z cyklu „z dziedziny estetyki", prof. E. Niewiadomski wygłosił interesujący odczyt p. t. „Potwór w sztuce", obficie ilustrowany przezroczami. Koreferentami byli: dr. fil. Michał Sobeski i prof. Feliks Słupski. Konferencja ta doznała równego powodzenia, jak dwie poprzednie: sala Stow. Techników była pełna.

W SPRAWIE SZKOŁY KRUSZYNKOWSKIEJ pomieściła p. Marja Młodowska w *Gazecie Kujawskiej* list następujący:

„Bezpośrednio przed objęciem kierownictwa szkoły w Kruszynku, p. Jadwiga Dziubińska była nauczycielką-wychowawczynią w szkole ochroniarek w Pruszkowie. Na tym stanowisku pozostawała dwa lata. Uczennice te przyjeżdżały następnie do Wieńca na kilkomiesięczną praktykę. Miałam więc sposobność poznać dokładnie wpływ i kierunek wychowawczy p. D. Dziewczęta, rekrutujące się z drobnomieszczaństwa, ex-szwaczki, kwiaciarki i t. p. pracownice, z elementarnym wykształceniem, zadziwiały mnie rozbudzeniem poczucia obowiązków społecznych.

Same wychowane nieraz w nędzy, nie zaznawszy radości życia, marzyły i mówiły o pracy dla innych, o rozjaśnieniu mroków chat. I dziewczęta te nietylko mówiły, ale szły na ciężką pracę i trwają w niej lata całe. W rozmowach z tymi dziewczętami słyszałam powtarzające się imię „p. Jadwiga", z entuzjazmem i miłością, każdej lepszej ich myśli początek dawała „p. Jadwiga", o jej pochwałę im chodziło, robiło się i myślało tak, bo tak chciała „p. Jadwiga". I stosunek ten trwał dwa lata, był ciągłą spójnią między wychowankami a wychowawczynią.

Kto zna nasze dziewczęta mieszczańskie, wie, jak obcymi im są wszelkie uczucia obywatelskie, dlatego całą zasługę rozbudzenia ich przypisać muszę p. Dziubińskiej i wyrazić jej moje wielkie uznanie i szacunek. Zaznaczyć jeszcze muszę, że w żadnej uczennicy nie zauważyłam nawet śladu antyreligijnego kierunku, a słyszałam i wierzę w to, że te same przymioty posiadają i Kruszynianki".

WYSTAWA PRZYRODNICZA W ŁODZI. Organizuje się komitet, który w kwietniu zamierza urządzić wystawę przyrodniczą. Inicjatywa urządzenia wystawy należy do pań: Ziemnickiej i Grzybowskiej, które w tej sprawie udzielają wszelkich informacji. Organizacyjne zebranie członków komitetu wystawy przyrodniczej odbędzie się wkrótce, a obecnie tymczasowy komitet zwraca się do posiadaczów zbiorów przyrodniczych z prośbą o wzięcie udziału w wystawie.

KONKURS „EKONOMISTY". Z powodu przypadającego w roku bieżącym dziesięciolecia wydawnictwa *Ekonomisty*, Redakcja ogłasza konkurs na pracę z zakresu współczesnych stosunków społecznych i ekonomicznych w Królestwie Polskim. Rozmiar prac powinien wynosić przynajmniej 10 arkuszy druku. Termin konkursu upływa z dniem 1 października 1911 roku.

Za prace, odpowiadające poważnym wymaganiom naukowym, red. *Ekonomisty* wyznacza trzy nagrody: I — 1,500 rubli, II — 1,000 rb. i III — 500 rb. Sąd konkursowy zastrzega sobie, po rozpatrzeniu wyniku konkursu prawo czynienia wszelkich zmian co do podziału i wysokości nagród. Sąd konkursowy może nawet nie udzielać nagród, jeżeli dojdzie do wniosku, że prace nie odpowiadają warunkom konkursu.

Nagrodzone prace stają się własnością *Ekonomisty* i będą drukowane bądź w kwartalniku, bądź w oddzielnym wydaniu książkowym. Autorzy winni do pracy dołączyć kopertę, zawierającą nazwisko i dokładny adres. Prace mają być nadsyłane pod adr: Wydawca i redaktor *Ekonomisty* Stefan Dziewulski, Warszawa, Czysta 6.

BRAK PRACY był przedmiotem odczytu p. Rose, red. *Dziennika Berlińskiego* w Tow. pracy społecznej.

Przyczyny braku pracy są tak różnorodne a sposoby zaradzania mu były dotąd tak utopijne, że w tym chaosie trudno się było dotąd zorjentować.

Nowsze jednak badania dążą do rozplątania węzła przyczyn i skutków i rozróżniają przyczyny: ekonomiczne, jak zastój danej gałęzi przemysłu, — polityczne, jak wojny orężne i celne—klimatyczna zmiana pór roku i ich długotrwałość, epizodyczne i techniczne, jak nowe wynalazki i maszyny oraz psychologiczne, jak lokauty i strejki.

Środki przeciw brakowi pracy stosowane były dotąd albo paljatywne, jak prowadzenie robót publicznych w czasach przesileń przemysłowych, albo też natury zasadniczej, jak ustanawianie urzędów pracy, które śledzą warunki pracy w różnych okolicach, ułatwiają przejazd robotnikom i t. d.; środki te jednak nie poprawiły sytuacji i obecnie w krajach o średnio rozwiniętym przemyśle 1 proc. robotników pozostaje stale bez pracy, zimą bywa i 3 proc. a w latach ciężkich do 10 proc. dochodzi. W 1903 i 1907 r. całe tygodnie pół miljona ludzi świętowało przymusowo. Zadaniem więc wieku XX-go będzie uregulowanie tej palącej sprawy.

Robotnicy organizują się już sami zawodowo, ale jeszcze 80 proc. pozostaje bez opieki — tymczasem pomoc społeczna i państwowa zwraca się dotąd tylko w kierunku tej zorganizowanej arystokracji robotniczej, pogłębiając jeszcze przepaść i antagonizm jej do niezorganizowanego proletarjatu.

Pomoc taka pod nazwą systemu gandawskiego, od zapoczątkowania jej przez gminę miasta Gandawy w 1901 roku zwana — polega na tym, że państwo czy gmina dodaje pewien procent do zapomóg udzielonych pozbawionym pracy robotnikom przez organizacje robotnicze, a wprowadzono ją w Belgji, Francji, Norwegji i Danji — w tym mniemaniu, że będzie ona impulsem do tworzenia się związków zawodowych.

Nadzieje te jednak okazały się jak dotąd płonnymi, i system gandawski nie przyczynił się do rozwiązania problematu braku pracy — który, zdaniem referenta, zdolna jest tylko rozwiązać przymusowa asekuracja państwowa od bezrobocia na wzór niemieckiej instytucji zabezpieczenia w razie choroby i kalectwa oraz emerytury na starość.

OFIARY.

Na utrzymanie Szkoły ludowej w Kruszynku: H. Dębiński rb. 5, E. Kwiatkowska kop. 50, H. Swieszewska kop. 50, M. Smerdzińska kop. 10, Chełmski kop. 50, Skorupska kop. 50, Hala kop. 50, Kamocka kop. 30, Fijałkowska kop. 50, Miecińskí kop. 50, J. Rozmus kop. 50, S. Piekutowski kop. 50, J. Śliwa kop. 30, A. Fedorowicz kop. 50, F. Fijałkowski kop. 20, S. Smiłek kop. 20, F. Adamski kop. 20, R. Lubawski kop. 50, P. Marciniak kop. 50, P. Brach kop. 30, B. Laskowski kop. 40, J. Niedzielski kop. 35, W. Smogorzewski kop. 30, J. Szwarc kop. 30, J. Duda kop. 50, Majsterkiewicz kop. 30, E. Słoński rb. 1. Razem rb. 15, kop. 75.

L. kop. 20, P. kop. 50, B. kop. 50. Razem rb. 1 kop. 20.

Dr. Juljan Majkowski rb. 5.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb.**8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb. **10.**

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.